STRAŻ



Stutysięczne rzesze Polaków w czasie święta morza w Gdyni powtarzają następującą rotę przysięgi: „Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da, przysięgamy: odwiecznych praw Polski do Bałtyku i morskich przeznaczeń Rzeczypospolitej strzec, nad ujściem Wisły straż niezłomną trzymać, dorobek Polski na wybrzeżu i morzu stale pomnażać, braci naszych za kordonem, nierozerwalną część narodu polskiego, wspomagać i bronić. Tak nam dopomóż Bóg“.

NAD WISŁĄ

POMORSKIE CZASOPISMO ILUSTROWANE

Nr 13 15 LIPCA 1939 Rok IX.

Cena egzemplarza 50 gr

Chrystus, Książę Pokoju

Jak zaklęcie matczyne, nabrzmiałe łzami, dźwięczą słowa Boskiego Mistrza: „Jeruzalem, Jeruzalem, ile razy pragnąłem zgromadzić dzieci twoje, tak jak kokosz zbiera kurczęta pod swe skrzydła, a ty nie chciałeś...“ Toteż przyszła zasłużona i przez Chrystusa zapowiedziana kara; kiedy bowiem w roku 70 po Chrystusie wojska Tytusa zniszczyły Jerozolimę, to miasto pokoju, ponad milion żydów zginęło z rąk żołnierzy rzymskich. Wspaniała świątynia, cud świata, padła płomieni pastwą, a krew lała się dosłownie, strumieniami po jej wspaniałych schodach.

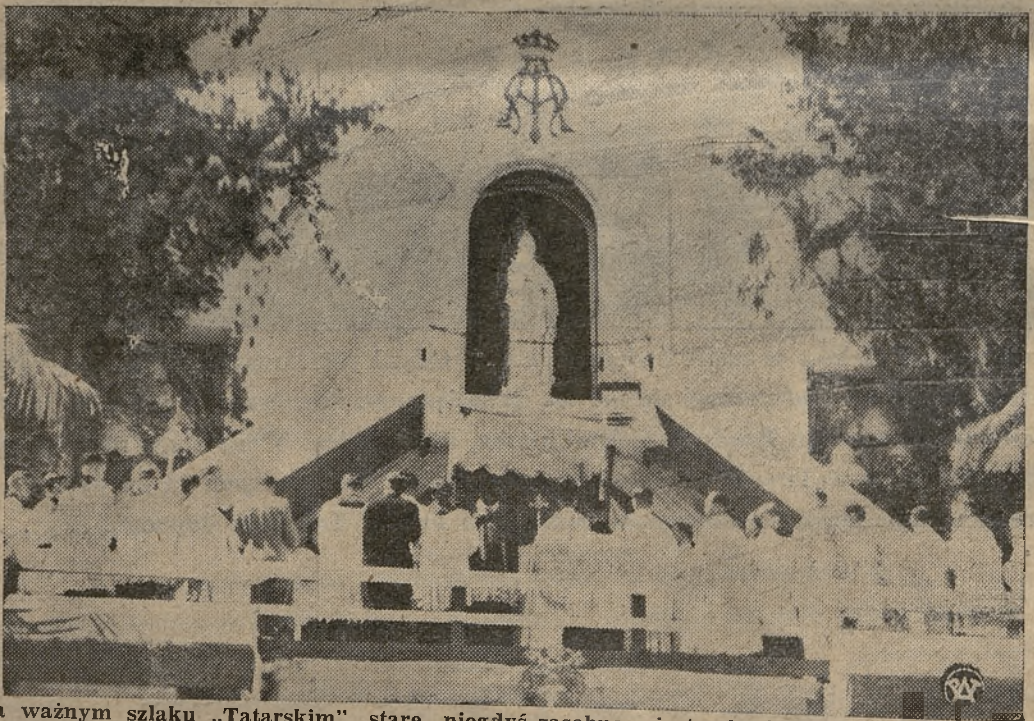
„Gdybyście poznały, narody...“, wołał Boski Zbawiciel przez usta swych kapłanów z tysiącznych ambon w dniu, w którym rodziła się straszna wojna światowa. Ale głos Boży przeszedł bez echa...

Czy jednak dziś przynajmniej narody i państwa poznały, co jest ku pokojowi? — Wprawdzie mówi się i pisze jeszcze czasem o rozbrojeniu, ale faktycznie dozbrajają się po kolei wszystkie państwa, a okrucieństwa najbliższej wojny zostały tak precyzyjnie obmyślone, że przechodzą swymi strasznymi zdobyczami wszystko, czym się zapisała tak krwawa wojna światowa.

A w świecie ducha również wszystko świadczy o tym, że narody i państwa „nie poznały, co jest ku pokojowi“. Zamieszanie pojęć, zwalczanie podstawowych zasad religijnych i moralnych, bezbożnictwo i otwarta walka z Bogiem, wskrzeszenie pogaństwa..., wszystko to jest dowodem załamania się pokoju wśród ludzkości.

„Gdybyś poznał i ty człowiecze!...“ — I pojedyńczy człowiek przeżywa tragedie Jerozolimy, jeśli „nie pozna, co jest ku pokojowi“. Widział to Pan Jezus, gdy płakał nad miastem świętym. Ale może nigdy tragedia duszy ludzkiej nie występowała tak jaskrawo jak za dni naszych. Nigdy szamotanie się człowieka nie było tak beznadziejne i bolesne, jak w naszej epoce. I dopóty serce ludzkie nie znajdzie prawdziwego szczęścia i ukojenia, dopóki każdy z nas nie wróci na ścieżynę, która wiedzie prosto ku Bogu, w którym jest źródło i pełnia szczęścia i pokoju.

Ten, który narody i każde serce ludzkie poprowadzić może i chce „ku pokojowi“, jest między nami: Chrystus, Książę Pokoju. Jest między nami osobiście w Najśw. Sakramencie; jest między nami przez swój święty Kościół katolicki, przez swą naukę i swe niezawodne środki łaski. Pójdźmy więc doń wszyscy z tymi gorącymi słowami pierwszego Papieża, św. Piotra Apostoła: „Panie! Do kogoż pójdziemy?... Myśmy uwierzyli i wiemy, żeś Ty jest Chrystus, Syn Boga żywego!“



Położone na ważnym szlaku „Tatarskim", stare, niegdyś zasobne miasteczko Jazłowiec i królujący nad okolicą klasztor SS. Niepokalanek oraz kresy południowo-wschodnie, przeżyły w niedzielę dnia 9 lipca swój wielki dzień. Czczona przez całe Podole cudowna statua N. M. P. Niepokalanego Poczęcia, znana pod nazwą „Pani Jazłowiecka”, została uroczyście ukoronowana w imieniu Ojca św. Piusa XII złotym diademem, ufundowanym przez klasztor i jego wychowanki, Pułk Ułanów Jazłowiecki ze Lwowa i społeczeństwo ziem kresowych. Aktu koronacji dokonał ks. prymas dr. August Hlond w otoczeniu licznego duchowieństwa. Ułani jazłowieccy ślubowali opiekę nad cudowną statuą.

G R U N W A L D

Dnia 15 lipca mija 529 lat od chwili największego w dziejach naszych zwycięstwa nad krwiożerczym i zawsze zachłannym prusactwem. Dziś stoimy w przede dniu nowego Grunwaldu, o którym mówi nam broszura na czasie (Mir: **„Drugi Grunwald"** — Polska w obliczu dziejowych rozstrzygnięć). „Ten drugi Grunwald może i musi być śmiertelnym ciosem dla hitlerowskiego smoka, wyciągającego żarłoczną paszczękę po naszą własność", musi być podobnie śmiertelnym ciosem dla gadu niemieckiego, jakim był Grunwald dla krzyżackiego prusactwa.

Wrogom na przestrogę, a nam dla dodania sił, podajemy w skróceniu świetny opis bitwy grunwaldzkiej wielkiego naszego historyka Długosza, który żył w owych pamiętnych i wielkich czasach.

„We wtorek, w dzień Rozesłania Apostołów, 15-go lipca, król Władysław postanowił przed świtem wysłuchać mszy św. Już wreszcie i dzień nastał, a wiatr począł się wzmagać gwałtowny. Gdy więc dla ciągłej zawiei niepodobna było kaplicy królewskiej mocno ustawić, za radą wielkiego książęcia Aleksandra ruszył król obozem, a uszedłszy przestrzeń dwumilową, w której widzieć można było płonące dokoła włości nieprzyjaciół, stanął na polach wsi Rudy i Grunwaldu.

Już mistrz pruski, Ulryk Jungingen, ściągnął do wsi Grunwaldu, którą miał swoją upamiętnić klęskę i z bliska stanął ze swoim wojskiem. Król Władysław, tak nagłym, niespodziewanym nadejściem nieprzyjaciela, nie zmieszany, za najważniejszą rzecz osądził, aby wprzód oddać powinność Bogu, nim by do wojny przystąpił. Zarazem, udawszy się do kaplicy obozowej, wysłuchał z wielkim nabożeństwem dwóch mszy, a prosząc Boga o pomoc, z większą niż zwykle modlił się gorącością ducha.

Wreszcie skończył król modlitwy, a przywdziawszy zbroję, świetnym od głowy aż do nóg okrył się rynsztunkiem. A chociaż rycerstwo, uszykowane w porządne hufce, wystąpiło już do boju, i nieprzyjaciel z przeciwnej strony stał w gotowości i z orężem w ręku, tak że oba wojska zaledwo na rzut strzału od siebie były oddalone i już nawet pojedyńcze między nimi zagrały harce: uważano przecież za rzecz przyzwoitą, aby czekać, aż król sam wyda hasło do spotkania. Zaczem król Władysław w pełnej zbroi, siadłszy na konia, a wszystkie oznaki królewskie zostawiwszy na boku, dla obaczenia nieprzyjaciela podjechał na wniosłe wzgórze i stanął na pagórku, między dwoma gajami, skąd łatwy i dokładny podawał się widok na wojska nieprzyjacielskie. Napatrzywszy się dowoli zastępom nieprzyjaciół, zjechał na równinę i wielu z towarzyszów pasem rycerskim ozdobił; dla dodania zaś swoim serca krótką, ale silną zagrzał ich przemową, a sam z konia tak, jak na nim ubrany siedział, ponowił jeszcze spowiedź. Gdy wytrąbiono hasło bojowe, wszystko wojsko zaśpiewało pieśń ojczystą BOGURODZICA, a potem z podniesionymi kopiami pobiegło do bitwy. W tej samej chwili obydwa wojsko z głośnym, jak zwykle przed walką, okrzykiem, zwarły się z sobą w nizinie, która je przedzielała. Krzyżacy, dwakroć uder wszy z dział, silnym natarciem napróżno usiłowali przełamać i zmieszać swych przeciwników szyki, lubo wojsko pruskie z głośniejszym krzykiem i z wyższego pagórka ruszyło do walki. Tak straszny za ich spotkaniem z wzajemnego uderzenia kopii, chrzęstu ścierających się zbroi i szczęku mieczów powstał huk i łomot, że go na kilka mil w okolicy słychać było. Mąż na męża napierał, kruszyły się z trzaskiem oręże, godziły w twarz wymierzone wzajem groty. W tym zamieszaniu i zgiełku trudno rozróżnić było dzielniejszych od niewieściuchów; wszyscy bowiem jakby w jednym zawiśli tłumie. I nie cofali się wcale z miejsca, ani jeden drugiemu ustępował pola, aż gdy nieprzyjaciel, zwalony z konia albo zabity, rum (wolne miejsce) otwierał zwycięzcy. Gdy na koniec połamano kopie, zwarły się z sobą tak silnie obu stron szyki i oręże, że już tylko topory i groty, na drzewcach ponasadzane, tłukąc o siebie, przeraźliwy wydawały łoskot, jakby bijące w kuźniach młoty. Jeźdźcy, ściśnieni w natłoku, szablą tylko nacierali na siebie i sama już wtedy siła, sama dzielność osobista przeważała. A wtem przybiega rycerz z obozu Prusaków, Niemiec, nazwiskiem Dypold Kikierzyc, złotym pasem opięty, w białej podbitej kiecce, niemieckiego kroju, którą u nas jupką albo kaftanem zowią i cały okryty zbroją, dociera aż do miejsca, kędy król stał, a wywijając włócznią, godzi prosto na króla. Gdy więc król Władysław, podniósłszy także włócznię, czekał jego spotkania, Zbigniew z Oleśnicy, pisarz królewski, prawie bezbronny, bo w ręku miał jeno drzewce w pół złamane, uprzedził cios królewski, a ugodziwszy w bok owego Niemca, zwalił go z konia na ziemię. Rycerze, trzymający straż przy królu, ubili go na miejscu, a piesze żołdaki zdarły z zabitego odzież.

Wojsko krzyżackie, spostrzegłszy, że pomieniony rycerz trupem poległ, zaraz zaczęło się cofać na hasło jednego z Krzyżaków, który siedząc na białym koniu, kopią dawał znać do odwrotu i wołał po niemiecku: herum, herum!

Po zniesieniu zatem i rozbiciu całej potęgi nieprzyjacielskiej, przy czym także Wielki Mistrz pruski Ulryk, marszałkowie, komturowie, rycerze wszyscy i najznakomitsi w wojsku pruskim panowie poginęli, reszta nieprzyjaciół poszła w rozsypkę, a raz tył podawszy, pierzchała ciągle w popłochu.

Władysław, król polski, zupełne nad mistrzem i Krzyżakami odniósł zwycięstwo. Obozy nieprzyjacielskie, zasobne w wielkie bogactwa i zapasy, wozy i wszystek sprzęt wojenny, Mistrza i rycerstwa pruskiego, polski żołnierz opanował i złupił. Znaleziono zaś w obozie krzyżackim kilka wozów, naładowanych samymi dybami i okowami, które Krzyżacy z pewnością rokując sobie zwycięstwo, do pętania Polaków przygotowali. Były i inne wozy, pełne łuczywa smolnego, a oblanego łojem i smołą, kiścieni, także smołą i tłustością wysmarowanych, którymi Polaków pobitych i uciekających gnać mieli przed sobą.

Za wcześnie cieszyli się zwycięstwem, z pychą i zaufani w siebie i niepomni, że zwycięstwo jest w ręku samego Boga.

Legło w tej bitwie 50.000 nieprzyjaciela, a 40.000 wzięto do niewoli".



Rodzaje lotnictwa wojskowego

I. LOTNICTWO ROZPOZNAWCZE

W czasie wojny światowej zróżniczkowały się typy samolotów i powstały rodzaje lotnictwa, różniące się przeznaczeniem, organizacją i sposobem działania. Obecnie istnieje cała gama samolotów wojskowych, które swą budową bardzo się różnią między sobą, każdy jednak samolot można zaliczyć do jednego z trzech zasadniczych typów samolotów bojowych, zgodnie z trzema zasadniczymi rodzajami lotnictwa: **rozpoznawczym, myśliwskim i bombowym.**

Lotnictwo rozpoznawcze jest najstarszym rodzajem lotnictwa wojskowego. Wszystkie eskadry lotnicze istniejące przed r. 1914 były eskadrami rozpoznawczymi, chociaż nazwy ich były rozmaite. Podstawowym zadaniem lotnictwa rozpoznawczego jest rozpoznanie lotnicze, czyli poszukiwanie i zdobywanie wiadomości przez obserwację i wykonywanie zdjęć fotograficznych z samolotu.

Pierwsze samoloty wojskowe przed wojną światową i w pierwszych jej miesiącach przeznaczone do tych właśnie zadań, nie miały żadnego uzbrojenia, gdyż wydawało się to początkowo zupełnie zbyteczne. Wkrótce już jednak zrozumiano, że samoloty jednej strony mogą i powinny samolotom strony przeciwnej przeszkadzać w wykonywaniu rozpoznania, które było poprostu bezkarnym wglądaniem w głąb ugrupowań i śledzeniem ruchów na tyłach. Powstała w ten sposób myśl o lotnictwie zwalczającym w powietrzu samoloty przeciwnika, czyli lotnictwie myśliwskim. Nazwa polska lotnictwa myśliwskiego ma odpowiedniki w językach tych państw, w których to lotnictwo najpierw powstało, tj. w Niemczech — Jagdflieger i we Francji — aviation de chasse. Nazwy te pochodzą od właściwej działalności tego lotnictwa, mianowicie „polowania” na samoloty rozpoznawcze.

Obecnie lotnictwo rozpoznawcze niemal wszędzie składa się z dwóch typów eskadr — wyższego i niższego rzędu, z których pierwsze są przeznaczone do wykonywania rozpoznań na korzyść wyższych dowództw (armii, frontu, naczelnego dowództwa), drugie natomiast dla wykonywania rozpoznań dla mniejszych związków (grup operacyjnych, wielkich jednostek: piechoty, kawalerii, broni pancernej) i do współpracy z broniami (głównie z artylerią). Eskadry rozpoznawcze mają po 7 do 10 samolotów.

Te dwa typy eskadr lotnictwa rozpoznawczego oznaczane są bardzo rozmaicie. I tak Niemcy nazywają eskadry wyższego rzędu eskadrami „F”, od pierwszej litery słowa „Fernaufklarung” (dalekie rozpoznanie), eskadry niższego rzędu — eskadrami „H” od „Heresaufklarung” (rozpoznanie dla wojsk). Anglicy rozróżniają eskadry „rozpoznania” i eskadry „współdziałania z wojskiem”.

W Polsce lotnictwo rozpoznawcze miało początkowo tylko jeden typ eskadr; nazywano je eskadrami wywiadowczymi. Obecnie mamy również dwa typy eskadr: niższego rzędu — **eskadry towarzyszące**, wyższego rzędu — **eskadry liniowe.**

Samoloty eskadr rozpoznawczych wyższego rzędu są najczęściej trzymiejscowe, rzadziej dwumiejscowe. Samoloty eskadr niższego rzędu są dwumiejscowe i lżejsze. Wszystkie samoloty rozpoznawcze są wyposażone w radiostacje nadawczo-odbiorcze i aparaty fotograficzne wbudowane. Używanie aparatów fotograficznych ręcznych jest przy obecnych szybkościach samolotów rozpoznawczych (około 30 km/godz.) praktycznie niemożliwe. Uzbrojenie samolotów rozpoznawczych składa się zwykle z 1 lub 2 k. m. pilota i 1 lub 2 k. m. obserwatora.

II. LOTNICTWO MYŚLIWSKIE

Lotnictwo myśliwskie, które powstało w pierwszym roku wojny światowej, nie zmieniło od owych czasów swego przeznaczenia. Głównym jego zadaniem jest nadal niszczenie samolotów nieprzyjacielskich w powietrzu, dodatkowym zaś — udział w zwalczaniu wojsk lądowych przez ostrzeliwanie i bombardowanie oraz wyjątkowo wykonanie prostych zadań rozpoznania. Lotnictwo myśliwskie jest w szerokim pojęciu lotnictwem **obronnym,** jednak zadania swoje rozumie ono i wykonuje **zawsze zaczepnie,** dążąc do nawiązania walki powietrznej i zestrzelenia samolotów nieprzyjaciela.

Podstawową jednostką taktyczną lotnictwa myśliwskiego jest wszędzie dywizjon, składający się z 2 lub 3 eskadr po 10 — 15 samolotów jednomiejscowych.

Głównymi cechami samolotu myśliwskiego były zawsze: duża **szybkość i zwrotność.** Przewaga szybkości pozwala na dopędzenie przeciwnika i zaatakowanie go z dogodnej pozycji, zwrotność jest konieczna w walce powietrznej — w tym pojedynku, w którym zwykle ten zwycięża, kto szybciej znajdzie się w „martwym polu” samolotu nieprzyjacielskiego, czyli zazwyczaj „na ogonie” przeciwnika.

W ostatnich latach czynnik szybkości zdobył dominujące stanowisko w taktyce lotniczej i technika zaczęła prawdziwy wyścig szybkości, który w pewnych wypadkach zamienił się niemal w manię szybkości (określenie autorów angielskich — „speed-mania”). Do zwalczania bardzo szybkich samolotów (około 450 km/godz.) trzeba było budować samoloty myśliwskie o szybkości większej przynajmniej o 30 lub 20%. Powstały też samoloty myśliwskie o szybkości 550 do 600 km na godzinę (angielskie Hurricane i Spitfire, niemiecki Bf 109). Samoloty te jednak przestły być prawdziwymi samolotami myśliwskimi, stały się bowiem niezdolne do właściwej walki powietrznej. Nadmierna szybkość wyklucza zwrotność samolotu ponadto, siły odśrodkowe występujące przy różnych ewolucjach wykonywanych na szybkości większej od 500 km na godzinę są tak wielkie, że utrudniają panowanie nad samolotem i wywołują bardzo silne reakcje organizmu

ludzkiego, które mogą być nawet śmiertelne w skutkach (zamroczenie, utrata przytomności, krwotoki). Siłą rzeczy samoloty takie mogą służyć tylko do walki po linii prostej, która ma miejsce głównie w pościgu. Samoloty takie przyjęto też nazywać pościgowymi.

Jednak potrzebne są nadal samoloty myśliwskie, które mogłyby zwalczać samoloty rozpoznawcze niższego rzędu, i które znowu z konieczności muszą być wolniejsze do pracy obserwacyjnej nad frontem. Dlatego wyłoniła się sprawa podziału lotnictwa myśliwskiego również na dwa typy eskadr: do walki na froncie i do zwalczania samolotów bardzo szybkich w głębi kraju (wypraw bombowych i samolotów rozpoznania dalekiego). Na ogół przyjęto nazwy następujące: **eskadry myśliwskie frontu i eskadry pościgowe.** Rodzajem lotnictwa trudno nazywać pościgowców, gdyż istotą ich jest walka, tak jak i myśliwców, zmieniły się tylko formy tej walki.

Samoloty myśliwskie frontu są uzbrojone zazwyczaj w 2 do 4 karabinów maszynowych; samoloty pościgowe mają po 6 do 8 karabinów maszynowych, lub kilka karabinów maszynowych i działka — jedno lub dwa — 20 do 37 milimetrowe. Wszystkie samoloty myśliwskie mają obecnie radiostacje.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MGR STANISŁAW WAŁĘGA

Polacy zasłużeni na obczyźnie

JAN DYBOWSKI

Do rzędu głośnych i nieustraszonych badaczy Afryki środkowej w rodzaju Levingstone'a i Stanleya zaliczyć można także Jana Dybowskiego, naszego rodaka, który w służbie francuskiej okrył swego czasu chwałą swe imię i imię Polski, której był synem.

Jan Dybowski urodził się we Francji około roku 1855, jako syn emigranta polskiego. Nauki pobierał w szkole rolniczej w Grignon, w której po jej ukończeniu został instruktorem ogrodnictwa. Przez wiele lat był oprócz tego sekretarzem Narodowego Towarzystwa Ogrodniczego we Francji. Zajmował się wówczas przeważnie badaniami nad hodowlą jarzyn i oprócz licznych prac z tego zakresu, napisał wartościową rozprawę na ten temat w języku francuskim p. t. „Rozprawa o hodowli warzyw". Był jednym ze współpracowników francuskiej „Encyklopedii Rolniczej", zasilał też swymi artykułami Wielką Encyklopedię Lamiraulta.

Ale nie w tej dziedzinie miał się upamiętnić po wsze czasy Jan Dybowski. Nikt by się nie był spodziewał, że w tym polskim naukowcu, uczonym badaczu jarzyn i roślin, że w tym spokojnym agromonie drzemie wielki podróżnik i odkrywca, człowiek o stalowej woli.

Jan Dybowski okazał po raz pierwszy swe prawdziwe zdolności w końcu 1889 roku, kiedy to z polecenia ministerstw rolnictwa i wychowania publicznego przedsięwziął wyprawę naukową do niezbadanych wówczas jeszcze części pustyni Sahary i Algerii południowej poza El-Goleah i przywiózł bogaty zbiór okazów roślinnych i zwierzęcych z tamtych krain, których świat roślinny i zwierzęcy był w tym czasie zupełnie nieznany.

W roku 1892 Komitet Afryki Francuskiej powierzył mu wyprawę naukową do Konga francuskiego, zalecając mu połączyć się z wyprawą badacza francuskiego Crampela, którego ten sam Komitet wysłał dwa lata przedtem w roku 1890 do Afryki dla zbadania okolic między Kongo francuskim a jeziorem Czad (Afryka).

Po wylądowaniu w Loango Dybowski wraz z trzema towarzyszami Francuzami i 40 tragarzami murzyńskimi dotarł do Brazzaville, stolicy Konga francuskiego.

W Brazzaville musiał Dybowski wyczekiwać dwa tygodnie na łodzie, które zarząd kolonii miał z uzbrojoną załogą oddać do jego dyspozycji. W tym czasie przypadało święto narodowe francuskie, które Dybowski postanowił jak najświetniej w Brazzaville obchodzić, a to celem olśnienia dzikich krajowców murzyńskich i zjednania ich sympatii dla Francji. Jakoż za zgodą i przy pomocy miejscowych władz francuskich urządził w dniu tym wspaniałe igrzyska, na które napłynęły z różnych stron tłumy krajowców murzyńskich z naczelnikami swoich plemion, czarownikami, fetyszystami i z wielkim wodzem N'czulu, lennikiem króla Makoko. Odbyły się wyścigi piesze i w workach z nagrodami dla zwycięzców oraz rozmaite popisy dzikich jak tańce, walki, zapasy, tańce wojenne, obrzędy religijne itp.

Zabawa szła w najlepsze, gdy nagle na placu igrzysk pojawił się biskup brazzavilski, monsignor Anghouard, świeżo przybyły z misji, założonej u ujścia rzeki Ubangi do Kongo i obwieścił Dybowskiemu smutną wiadomość. Spotkał mianowicie w tym dniu u brzegów rzeki Kongo kanonierkę francuską „Ubangi", na której znajdował się niejaki Nébout, członek wyprawy Crampela, który doniósł mu o zupełnej zagładzie całej ekspedycji Crampela. On sam tylko cudem uniknął śmierci. Nazajutrz przypłynęła do Brazzaville kanonierka z Nébout, który szczegółowo opisał Dybowskiemu tragiczny zgon Crampela i jego towarzyszy, Biscarrata i Saida, zamordowanych okrutnie przez muzułmanów, Arabów z El-Kuti na południe od Wadai. W ręce morderców Crampela wpadło trzy tysiące karabinów, 200 strzelb oraz kilkaset kilogramów prochu, stanowiących własność ekspedycji.

Pierwszą myślą Dybowskiego było ruszyć w stronę El-Kuti, by wziąć krwawy odwet na Arabach za



Komisarz Gen. Rz. Pol. w Gdańsku MIN. M. CHODACKI

śmierć Crampela i znieważenie francuskiego sztandaru. Nie mógł jednak zimnym rozumowaniem pohamować swego zapału i postanowił iść za pierwszym popędem, podniecając się przy tym przypuszczeniem, że może bodaj kilku uczestników wyprawy Crampela pozostało jeszcze przy życiu i wyglądają ocalenia. Prosił Nébouta, by mu towarzyszył i przewodniczył jako znający już ten teren; ale Nébout nie dał się namówić, co więcej, wpływał na Dybowskiego, aby poniechał swego szalonego przedsięwzięcia, przekładając mu, że zginie ze swymi 40 żołnierzami w walce z Arabami z El-Kuti, rozzuchwalonymi zwycięstwem nad Crampelem, które dało im w łupie tak wielką masę strzelb i prochu.

Tragarze, których wziął Dybowski z Loango uciekli, gdy tylko dowiedzieli się, dokąd zamierza wyruszyć. Trzej tylko jego towarzysze z Europy pozostali przy jego boku, mimo że sam nalegał na nich, ażeby powrócili do kraju wobec zmiany celu wyprawy. Dybowski zwerbował z wielkim trudem pięćdziesięciu tragarzy murzyńskich, do których przyłączyło się kilku Senegalczyków, którzy przybyli z Néboutem. Zaopatrzywszy się w przedmioty najniezbędniejsze, w środki apteczne i naboje, oraz w spory zapas różnych towarów dla wymiany na żywność u tubylców, nie znających monet europejskich, puścił się Jan Dybowski w drogę na podreperowanej od biedy kanonierce rzecznej „Ubangi", na której Nébout przybył do Brazzaville. Kanonierka ta holować musiała teraz w górę rzeki szalupę z 40 dobrze wyćwiczonymi żołnierzami murzyńskimi.

Wyprawa Dybowskiego ku El-Kuti była bohaterska prawdziwie, pełna trudów i niebezpieczeństw największych, podobna pod wielu względami do głośnej wyprawy Stanleya. Tak jak wyprawa Stanleya, tak i wyprawa Dybowskiego musiała przepływać przez kraje ludożerców. Trzeba było ciągle na ląd wysiadać dla naprawy wciąż psującego się statku, lub dla narąbania drew pod kocioł, względnie dla nabycia żywności. Raz Dybowski ze swymi ludźmi omal nie zginął w płomieniach podpalonego przez dzikich lasu nadbrzeżnego, innym razem straszna ulewa tropikalna groziła zatopieniem kanonierki.

Wyprawa Dybowskiego posuwała się mimo to wszystko dość na ogół szczęśliwie naprzód po ogromnym jeziorze, utworzonym przez Kongo, potem zaś samą rzeką Kongo, z której wpłynęła na rzekę Ubangi, dopływ Konga i przybyła do leżącej nad Ubangi stacji francuskiej, Laryngi, gdzie u agenta kolonii doznała gościnnego przyjęcia i gdzie parę dni odpoczywać jej przyszło dla naprawy mocno uszkodzonego statku. Niewiele mu ta naprawa pomogła i w dalszej drodze kanonierka wciąż się psuła, zmuszając podróżników do wylądowywania wśród plemion ludożerczych. Raz w kraju Bondżosów, osławionych z ludożerstwa, przybił Dybowski ze swymi ludźmi do brzegu rzeki Ubangi akuratnie w chwili, kiedy na nim gromada dzikich warzyła sobie strawę, siedząc przy ognisku. Na widok białych Bondżosi pierzchli w popłochu. Gdy wędrowcy nasi, cierpiący dotkliwy głód z powodu wyczerpania wszelkich zapasów, z radością pobiegli do porzuconych przez dzikich kotłów w nadziei, że przecież będą mieli czym się pożywić, ze zgrozą i ohydą ujrzeli w nich odrąbane członki ludzkiego ciała.

Nareszcie dopłynęli do osady Bangi, skąd dalej już żeglować swoim statkiem nie mogli. Za tą bowiem osadą rzeka Ubangi, płynąca dotąd cicho i szeroko w brzegach równych i płaskich, — uwięziona w górnym biegu między skałami pędzi z hukiem spienione wały wodne poprzez rafy, z których niektóre czubami tylko sterczą ponad wodę, a inne kryją się w toni, grożąc w każdej chwili rozbiciem. To wszakże nie powstrzymało Dybowskiego. Statek swój i większą część bagaży postanowił zostawić na łasce losu w Bangi, a sam, sprowadziwszy z góry rzeki pirogi i czółna krajowców, puścił się dalej na nich z członkami swej ekspedycji.

Opis tej niebezpiecznej wyprawy skreślonej później przez samego Dybowskiego w dziele „Wyprawa ku jezioru Czad", wydanym w Paryżu 1893 roku, — przejmuje grozą i dreszczem czytelnika. Nie dość bowiem, że trzeba było walczyć z rwącym prądem, przedzierać się między rafami, robiąc wiosłami i drągami, a nieraz poprzez ławice podwodne rękoma przepychać łodzie, — ale nadto jeszcze wśród wąskich, gęstym lasem porosłych brzegów, płynąc jakby tunelem utworzonym przez zwieszające się ponad wodą gałęzie drzew, wypadło nieraz kłaść się na dnie łodzi, aby nie zostać z niej zmiecionym do wody, rojącej się od ohydnych krokodyli i niemniej niebezpiecznych hipopotamów, czyli koni rzecznych, wywracających z łatwością najcięższą łódź czy szalupę. Trzeba było się strzec jadowitych wężów, pająków i skorpionów, których kryjówką jest ta straszna dżungla. Moskity i gorsze od nich kleszcze i straszne pchły piaskowe dały się ogromnie we znaki wyprawie Dybowskiego.

Najgorszym jednak wrogiem wyprawy okazali się dzicy murzyni, okrutni ludożercy, którzy z chat swych, ukrytych wśród gęstwiny na samym brzegu rzeki wypuszczali swe strzały na podróżników, polując na nich dla zdobycia mięsa ludzkiego, uchodzącego u nich za największy przysmak. Kilku ludzi z załogi Dybowskiego padło ich ofiarą.

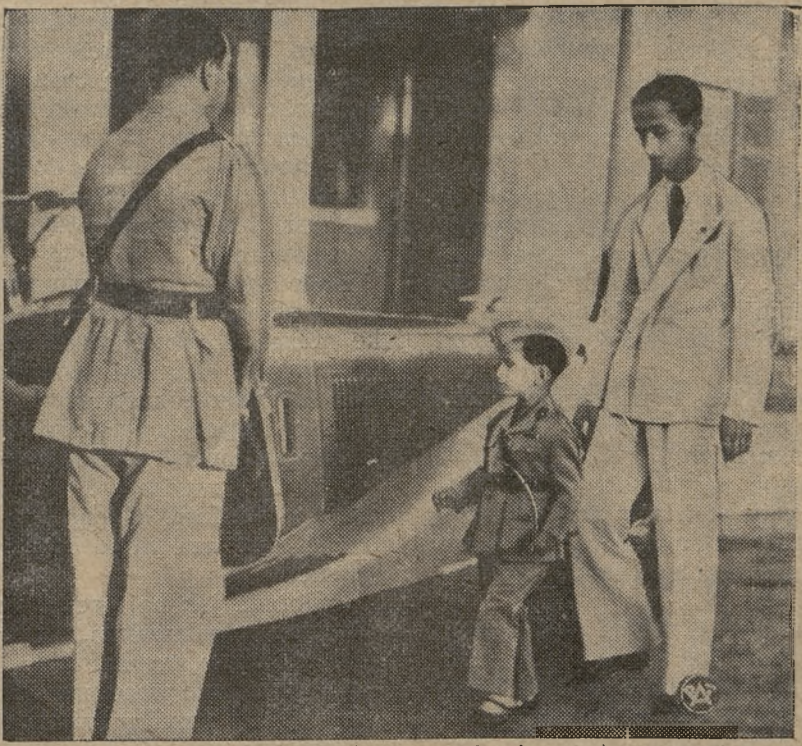
Trzy dni trwała ta uciążliwa, pełna niebezpieczeństw przeprawa w górę rzeki Ubangi, zanim wreszcie wyprawa Dybowskiego dostała się na spokojne i gładkie wody Ubangi poza kataraktami. Dotarłszy do kraju Banzyrysów, wrogów ludożerczych Bondżosów,

wynajął ich sobie Dybowski wraz z łodziami dla dalszego transportu i z ich pomocą wkrótce znalazł się wraz z swą wyprawą w siedzibie wodza murzyńskiego Bembe, który utrzymywał już przedtem przyjazne stosunki z zabitym przez Arabów Crampelem, toteż i Dybowskiego przyjął z radością. Bembe znał dobrze najdrobniejsze szczegóły śmierci Crampela, przeto mocno nalegał na Dybowskiego, żeby nie posuwał się dalej w głąb kraju, gdzie może stać się, podobnie jak Crampel, ofiarą zdradzieckich Arabów, rozzuchwalonych ostatnim powodzeniem.

Dybowski nie posłuchał go jednak i nie zważając nawet na to, że nie mógł dostać ani przewodników, ani tragarzy, podążył śmiało ku północy w kierunku jeziora Czad. Całą drogę musiał teraz odbywać pieszo to przez pola rozgrzęzłe skutkiem deszczów zenitalnych, to przez wielkie moczary i bagniska, przy czym nie raz nie dwa trzeba było sobie orężem torować drogę, gdyż tamtejsze plemiona murzyńskie, zwłaszcza Languowie, były wrogo usposobione do Europejczyków i nie chciały wyprawy Dybowskiego przepuścić przez swe terytoria. Po trzech tygodniach tej piekielnie męczącej drogi — dotarł wreszcie Dybowski do kraju potężnego wodza murzyńskiego, Jabandy, gdzie dowiedział się od krajowców ku swej niemałej uciesze, że w wiosce wodza Jabandy znajduje się jeden strzelec senegalski z wyprawy Crampela, który pojmany wówczas przez Arabów z El-Kuti, uratował się ucieczką z niewoli i znalazł schronienie czasowe u Jabandy. Jeszcze bardziej ucieszyła go wiadomość, że o parę godzin marszu od wioski wodza Jabandy obozują sami groźni rabusie, Arabowie z El-Kuti, których właśnie zamierzał dogonić, by pomścić na nich śmierć członków wyprawy Crampela i znieważenie sztandaru francuskiego. Szczęśliwy los i przypadek przyszły mu więc z pomocą i pozwoliły wpaść na właściwy trop.

W obawie, by Arabowie z El-Kuti nie dowiedzieli się o jego bytności w tych stronach i nie zdążyli zabezpieczyć się przed jego zemstą, postanowił działać szybko i stanowczo. Rozbiwszy więc nad rzeką swoje namioty, posłał do Jabandy kilku murzynów z oświadczeniem przyjaźni, hojnych darów, oraz z prośbą, aby wódz Jabanda raczył sam przybyć do obozu Dybowskiego na rozmowę i by przyprowadził ze sobą strzelca senegalskiego zbiegłego Arabom. Po dość długim czasie ukazał się wreszcie wódz Jabanda z liczną eskortą czarnych i z owym Senegalczykiem, w którym Senegalczycy Nébouta poznali swego ziomka, Mamadutibi, członka wyprawy Crampela. Mamadu-tibi zapewnił uroczyście Dybowskiego, że obozujący w pobliskiej miejscowości Arabowie są sprawcami śmierci Crampela, Saida, Biscarrata i wszystkich innych Francuzów, jacy byli z nimi. Ujęty prośbami Dybowskiego i sutymi darami, zgodził się Jabanda dać Dybowskiemu przewodników, dzięki którym Dybowski, dotarłszy do obozu Arabów, uderzył na nich tak gwałtownie, że raz jeden tylko zdążyli dać ognia, zabijając jednego ze strzelców senegalskich, i zaraz potem pierzchli w straszliwym popłochu, pozostawiając na placu walki swych poległych, rannych i wszystkie bagaże, między którymi znalazło się wiele przedmiotów, należących do Crampela i towarzyszy. Wyprawa ta zjednała Dybowskiemu rozgłos we Francji i na całym świecie. Jak triumfatora witano go w Paryżu, dokąd przybył z Afryki, przywożąc z podróży swej bogate zbiory ludoznawcze i przyrodnicze.

Wyprawę swą przeciw Arabom z El-Kuti opisał Dybowski po francusku w dziele „La route du Tchad", wydanym w Paryżu w roku 1893, którego przekład ukazał się w piśmie „Wędrowiec" p. t. „W krainie ludożerców".



Niewątpliwie najmłodszym monarchą świata jest syn tragicznie zmarłego w kwietniu br. króla Iraku, Ghazi, król Faizal II, którego widzimy na zdjęciu w towarzystwie regenta Iraku Amira Abdula, przed przejażdżką samochodową.

Drużyny strzeleckie na Pomorzu przed wojną

(Ciąg dalszy)

Po ustaleniu granic Rzeczypospolitej Polskiej nastąpiła chwila wytchnienia, chwila zasłużonego wypoczynku po trudach i znojach wojny. Wszak na tę chwilę upragnioną czekano długo. Wszak o tę chwlię toczono boje, zraszano ziemię krwią najlepszych synów Polski. Boć wydźwignięcie narodu polskiego z upadku trzeba było drogo opłacić.

Z Pomorza, które przypadło Polsce, jakkolwiek nie w historycznych granicach, emigrowało tysiące Niemców do Vaterlandu, ich miejsca zajmowali Polacy często z innych dzielnic Polski.

Cel, zakreślony przez Polskie Drużyny Strzeleckie, Straż Ludową i organizacje Wojska Polskiego został zrealizowany, a więc i byt ich zdawał się być w wolnej Polsce niepotrzebny.

Przyszły czasy, w których Wódz i Twórca Strzelców usunął się po ciężkiej pracy w zacisze życia domowego. Rozpoczęły się rządy partyj, którym Zwiazek Strzelecki i inne organizacje, z których się wywodził duch niepodległości, często się nie podobały. A trzeba było tu podkreślić, że Związek Strzelecki powołany został do życia powtórnie w sierpniu 1919 roku przez kilku działaczy niepodległościowych z Wacławem Sieroszewskim na czele. Terenem jego odrodzenia była stolica wolnej Polski — Warszawa.

W początkach tej pracy trudno było mówić o jakiejś intensywnej robocie wychowawczej. Trzeba było się zająć werbowaniem ochotnika do wojska polskiego. Wielu też Strzelców brało udział w Powstaniu Wielkopolskim, wojnie bolszewickiej i Powstaniach Śląskich.

Dopiero w roku 1921, kiedy umilkł huk armatni szczęk oręża, obmyślano program wychowawczy Związku Strzeleckiego, ustalając właściwe podwaliny pracy. Szermierzami idei strzeleckiej byli przeważnie ludzie, działający na terenie Związku Strzeleckiego przed wojną oraz byli Legioniści i Peowiacy.

Do Okręgu Dowództwa Pomorskiego przydzielono wszystkie powiaty pomorskie oraz 4 warszawskie i 8 poznańskich.

W tych to właśnie powiatach, przydzielonych do Okręgu z województwa warszawskiego, rozpoczęła się praca organizacyjna Związku Strzeleckiego najwcześniej, bo prawie równocześnie z Warszawą.

Na terenie Lipna już w marcu 1921 r. zorganizowano pierwszy oddział strzelecki. W tym samym roku powstały oddziały w Kikole, Działyniu i Jasieńcu. Dnia 24 lipca 1922 roku odbyło się zebranie organizacyjne w Lipnie. Prezesem wybrano J. Moczarskiego, sekretarzem J. Kreczmarowa, skarbnikiem A. Kafarskiego. 23 listopada tegoż roku dokooptowano do Zarządu obywatela Turana jako wiceprezesa i obywatela Uzarowicza jako zastępcę sekretarza.

Wszystkie oddziały, powstałe na terenie powiatu lipnowskiego, należały do obwodu włocławskiego, który był przydzielony do Okręgu Związku Strzeleckiego Łódź. Mimo, że praca napotykała na poważne trudności, nie zrażano się i organizowano nowe oddziały nie tylko na terenie powiatu lipnowskiego, lecz także i powiatu rypińskiego. Dowodem tego jest założenie oddziału w Adamowie, powiatu rypińskiego, w roku 1922. W tym czasie czyni się także wysiłki przez Zarząd do Władz Głównych Związku Strzeleckiego w tym kierunku, by utworzono na terenie Lipna oddzielny obwód. Komenda Główna przychyla się do prośby i ustanawia obwód lipnowski z warunkiem, że obwód ten w najbliższej przyszłości będzie przydzielony do mającego powstać Okręgu Pomorskiego.

Po roku 1923 w związku z wyjazdem Prezesa Obwodu Moczarskiego, praca chwilowo zamiera. W roku 1925 jednak na nowo rozpoczyna się i w tym czasie powstaje oddział w Czernikowie, a na zebraniu organizacyjnym tego oddziału jest obecny z Lipna Komendant obwodu Olszewski i wiceprezes Turant. W skład Zarządu ukonstytuowanego weszli: Obywatel Muchewicz jako prezes, obywatel Kiełpiński jako sekretarz, obywatele Czerwiński i Kabliński jako członkowie Zarządu oraz Zmudziński jako komendant oddziału. Dzięki szczęśliwemu doborowi ludzi do pracy w tym oddziale, a zwłaszcza dzięki rzetelnej pracy od roku 1926 referenta wychowania obywatelskiego obywatela Suskiego, oddział ten zajmuje przodujące do dziś miejsce w powiecie.

10-go stycznia 1926 roku wybrano nowy Zarząd, w skład którego weszli: obywatel Turant jako prezes, obywatel Uzarowicz jako wiceprezes, obywatel Kafarski jako skarbnik, obywatel Idzikowski jako sekretarz.

Do istniejących już oddziałów doszły jeszcze nowozorganizowane w Dobrzejewicach, Skępem, w Hucie-Głogowskiej, Tupadłach, Chudzewie, Chełmicy-Wielkiej, Zuchowie, Wielgiem, Łochocinie oraz wnowiono oddziały w Tłuchowie i Jasieńcu.

Podobnie jak na terenie lipnowskim, tak i na terenie włocławskim, któremu początkowo Lipno podlegało, praca strzelecka zapoczątkowana została bardzo wcześnie. Jednak rok 1925 był rokiem jakby przełomowym, od tego czasu robotę cechuje ciągłość i intensywność.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Komenda: „Rozpiąć żagle"

Niech w żywiołowym mkną rozpędzie

Czata nad Wisłą

Drze do Bałtyku Wisły prąd
Jak koń bojowy bez wędzidła,
Na swój pomorski rwie się front,
Jakbyś jej przypiął, orle skrzydła.
O, Wisło! faluj w kraje świata:
Czuwa nad brzgiem polska czata.

Potężnej fali dumny śpiew
Rycerskim synom gra od dziecka,
Od lat w twe wody ciekła krew
Moskiewska, szwedzka i niemiecka;
Kędy twa wstęga ląd opasze,
Miecz polskiej czaty grzmi: „To nasze".

Strumieniem bystrym pędzisz z gór
I do nizinnych mkniesz padołów,
Bo, jak twój naród, masz coś z piór
Skrzydeł husarzów i aniołów ,
A z wód burzliwych żywozdroja
Chrzest bierze walki czata twoja.

Wisło! niech mnie z niebios grom
I niech zdruzgota podłe serce,
Które zaprzeda ojców dom,
I odda groby poniewierce.
Po kres ostatni fali twojej
Z bronią do strzału czata stoi!

Wal w obce tamy z mocą hożą,
Niech prysną w szczęty wraże wały,
Zaklęte hufce już nie śpią,
Już pieśń zwycięstwa wiekom dały
I padł ptak srebrny na szkarłaty,
Niosą go w słońce twoje czaty.

Do chwały dawnych, wielkich dni,
Oto zwycięski marsz Polaków!
Z królewskich prochów, z wodzów krwi
Błogosławieństwo dał ci Kraków —
I świeżość wzięła świętość krwawą
Od swojej czaty pod Warszawą!

Leć! — i nie wstrzymuj wartkich wód,
Niech w żywiołowym mkną rozpędzie,
Władaj, jak niegdyś! Tak chce lud!
Jego to wola! — i tak będzie!
A gdy za mała krwi obiata,
Da jej z pod serca polska czata.

Palce na palce kładziem w krzyż
I przysięgamy, naród cały:
Na krew i płomień, stal i spiż
Zwrócim ją tobie, orle biały!
Falę ostatnią z pierwszą zbrata
W jednym uścisku polska czata.

A kędy stary Bałtyk — tam
Nasz musi żołnierz stać u straży!
Pieśń wionie polska u twych bram,
Co miłościwie gospodarzy,
Nasza to bowiem broń oboja:
Miecz ma i Słowa czata twoja!

O, Wisło! Matko plennych ziem,
Gdzie bohatery i olbrzymy,
Póki pierś polska żywie tchem
Jednej tej fali nie stracimy!
Płyń! Zdzierży wroga po kres świata
Polskiego morza polska czata!!..

ARTUR OPPMAN.

Wśród zagadnień Dalekiego Wschodu



Fragment blokady koncesji międzynarodowej przez wojska japońskie w Tientsinie.

W tym czasie, gdy na odcinku angielsko-japońskiego sporu nastąpiło względne uspokojenie, wybuchł w innym punkcie nowy lokalny pożar, bitwa powietrzna na granicy mandżursko-mongolskiej, czyli mówiąc po prostu — na granicy sowiecko-japońskiej.

Można przypuszczać, że po względnym uspokojeniu na tym odcinku, nastąpią nowe wybuchy na najbardziej niespodziewanych punktach, jak np. w Sjamie, lub na wyspach, należących do posiadłości kolonialnych holenderskich.

Bowiem Daleki Wschód jest niesłychanie skomplikowanym terenem gry sił i interesów i nie wiadomo, gdzie z dnia na dzień wyskoczy nowy, palący problemat do rozwiązania.

Jedno można stwierdzić z całą pewnością. Klucz do sytuacji znajduje się w ręku decydującego czynnika dynamicznego na Dalekim Wschodzie — w ręku Japonii. I tu dochodzimy do trzonu zagadnienia.

Polityka Japonii, japoński plan w sprawach Azji jest najważniejszym motorem przemian na Dalekim Wschodzie. A polityka Japonii nie jest akcją od przypadku do przypadku; jest naturalnym wynikiem potrzeb gospodarczo-politycznych, związanych nierozdzielnie z nadbudową teoretyczno-ideową, ze swego rodzaju azjatycką doktryną Monroego.

W każdym razie, o ile Anglia czy Stany Zjednoczone bronią istniejącego stanu rzeczy i swych ogromnych inwestycyj na terenie chińskim, o tyle Japonia przychodzi z pewnym planem konstruktywnym, o dalekosiężnym zakresie.

Możemy prześledzić kolejno elementy składowe ekspansji japońskiej i jej ideologię, korzystając z najbardziej miarodajnego źródła. W roku ubiegłym ukazała się praca autora japońskiego, p. Tatsuo Kawai, jednego z kierowników japońskiej akcji propagandowej, która charakteryzuje siły motoryczne ekspansji japońskiej i z całą szczerością określa stosunek Japonii do interesów „państw białych" na terenie Azji, dając jednocześnie szkic programu japońskiego w sprawie chińskiej i pan-azjatyckiej. Można pracę p. Kawai traktować jako materiał do dyskusji, ale nie sposób zaprzeczyć, że jest ona odbiciem miarodajnych poglądów najwyższych czynników politycznych i wojskowych Nipponu.

***

Założeniem ideowym ekspansji japońskiej jest misja najprężniejszej rasy, najbardziej twórczego narodu Azji. Dowodami tej prężności i jej walorów twórczych są: imponujący wzrost zaludnienia wysp japońskich, nie wystarczających już dla wielkich potrzeb narodu oraz wszechstronna rozbudowa sił i energii japońskiej na terenie gospodarczym, czy też na naukowym i duchowym.

Te motory życiowe są współczynnikami ekspansji japońskiej. Ludność, która w roku 1872 wynosiła 33 miliony, zwiększyła się w ciągu lat czterdziestu (mowa tu o zasadniczych ziemiach japońskich) do 60 milionów, a według ostatniego spisu ludności przekroczyła 70 milionów. Jeżeli doliczyć tereny państwa Mandżukuo, to liczba ludności Jaopnii wynosi przeszło 100 milionów.

Jeżeli chodzi o gęstość zaludnienia, to Japonia znajduje się na czwartym miejscu za Belgią (270), Holandią (233), Anglią (188), mając 169 km kwadr. Ale, jak podkreśla autor japoński, należy odliczyć tereny górzyste i nie nadające się do zamieszkania, by otrzymać prawdziwą cyfrę gęstości zaludnienia, tj. około 1.000 ludzi na km kw.

Przyrost roczny wynosi przeszło milion ludzi. W parze z liczbą idzie jakość materiału ludzkiego. Japończyk jako obywatel i żołnierz posiada przecież ustaloną opinię na świecie. A dowodem wysokich zdolności umysłowych jest łatwość z jaką kraj tak tradycjonalistyczny, przyswoił sobie w krótkim czasie zdobycze wielu wieków cywilizacji europejskiej, nie tracąc nic ze swych cech duchowych, które decydują o dzisiejszych posunięciach państwa, o walorach jego armii.

O rozbudowie potencjału gospodarczego mówią następujące cyfry orientacyjne: w r. 1868 wynosił budżet państwowy Japonii około 33 milionów jen, w roku zaś 1935 — 2 miliardy 300 milionó:w jen. Między rokiem 1898 a 1935 wzrosła suma globalna eksportu i

importu japońskiego czternastokrotnie. Dochód społeczny, który w r. 1905 wynsoił półtora miliarda jen, osiągnął w r. 1936 — 16,500 milionów jen.

Na każdym polu gospodarczym, w przeliczeniu na jednostki wrzecion w fabrykach tkackich czy jednostki energii elektrycznej, w wydobyciu węgla, widać rozbudowę, która w cyfrach stosunkowych prześciga potężne organizmy gospodarcze Anglii lub Stanów Zjednoczonych A. P.

Oto kilka danych z dziedziny handlu, które wskazują, że z każdym rokiem wzrasta znaczenie rynków azjatyckich dla życia gospodarczego Japonii: w roku 1931 miał eksport Japonii do Azji wartość 505 milionów jen, w 1933 — 930 milionów, a w 1935 przekroczył miliard i trzysta milionów jen. Na drugim miejscu znajduje się eksport do Ameryki płn. z cyframi z r. 1931 — 442 miliony i 1935 — 579 milionów.

W imporcie Japonii w r. 1935 zajmują Azja i Ameryka płn. jednakowe miejsce z cyframi 870 milionów jen.

Obrazem rozmachu penetracji japońskiej na ląd Azji może być rozwój floty handlowej. Przed wojną rosyjsko-japońską w r. 1903 posiadała Japonia flotę handlową o ogólnym tonażu 650.000, w roku zaś 1934 wynosił tonaż handlowy 3.860.000 ton.

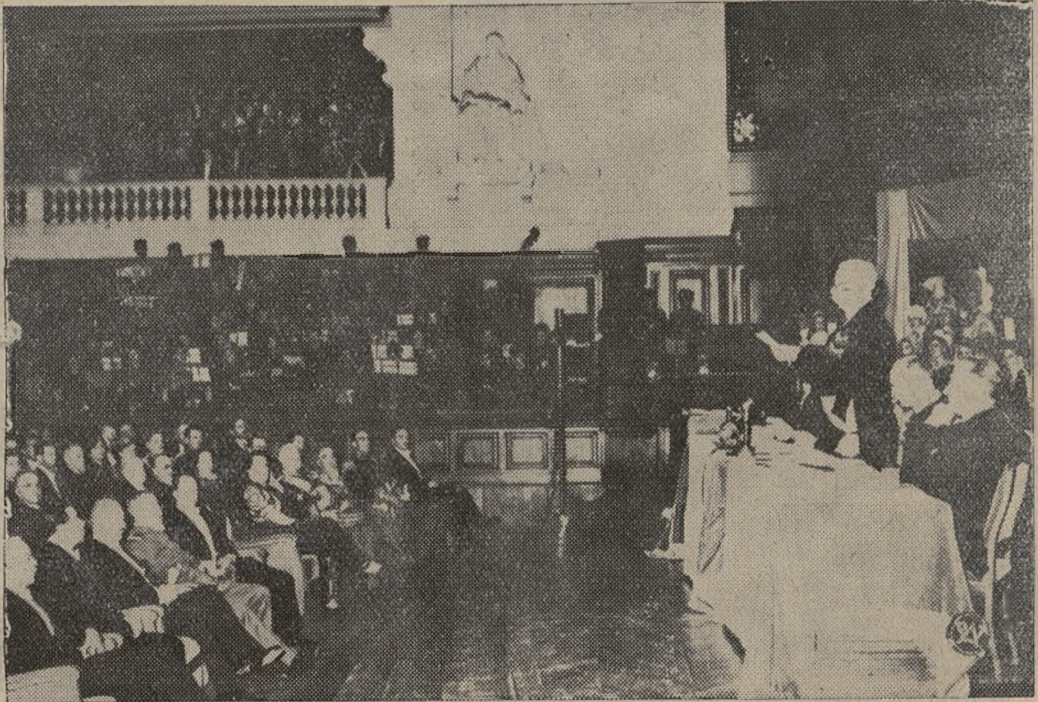
Przed wojną europejską wynosiła przeciętna szybkość statków japońskich 9 węzłów, a w roku ostatnim przekroczyła 18 węzłów, co, jak słusznie zauważa autor japoński, znakomicie przyśpiesza opanowanie gospodarcze lądu azjatyckiego.

Idealistyczna wizja Azji zreformowanej pod przewodnictwem Japonii nie może przesłonić faktu, że kapitał japoński zainwesotwał w Mandżurii 2 miliardy 800 milionów jen, a miliard w Chinach. Można więc bez złośliwości pod adresem japońskiego autora powiedzieć, że jest o co walczyć w Chinach i Mandżurii, poza wypełnianiem misji dziejowej, wypływającej z ducha Azji.

Oto są składniki naszej ekspansji — mówi autor japoński z dumą, nie pomijając obok zestawień cyfr z zakresu gospodarki i wojska, czynników duchowej siły swej ojczyzny: rozwoju nauk, postępu wynalazczości japońskiej na każdym polu, od matematyki do medycyny. Japonia nie odpierała wpływów obcych, umiała w równym stopniu asymilować zdobycze filozofii europejskiej jak techniki, zachowując przy tym narodowy charakter swej kultury, opartej o starożytną myśl Azji.

*

Oto jeszcze jeden aspekt z zakresu zagadnień Dalekiego Wschodu. Z programu przedstawionego w książce Tatsuo Kawai wypływa obraz przyszłości. Japonia nie przerwie wojny w Chinach aż do jej pozytywnego wyniku. Wojna w Chinach to jednocześnie walka z młodym nacjonalizmem chińskim i z interesami państw trzecich na terenie Chin. Przeciwieństwa te na drodze pokojowej rozstrzygnąć się nie dadzą. Dlatego będziemy świadkami niejednych jeszcze awantur „koncesyjnych", blokad, ostrych protestów i not. Dojrzewa również przeciwieństwo sowiecko-japońskie, inna strona zagadnienia azjatyckiego, które w bliższej czy dalszej przyszłości znajdzie swoje rozwiązanie w zmaganiach, mogących zadecydować o losach Azji i świata.



Manifestacja przyjaźni polsko-francuskiej miała miejsce w czasie akademii, zorganizowanej w Paryżu, w której wziął udział prezydent Francji Lebrun, ambasador R. P. Łukasiewicz, gen. Weygand i inni. Przemawia min. Louis Marin.



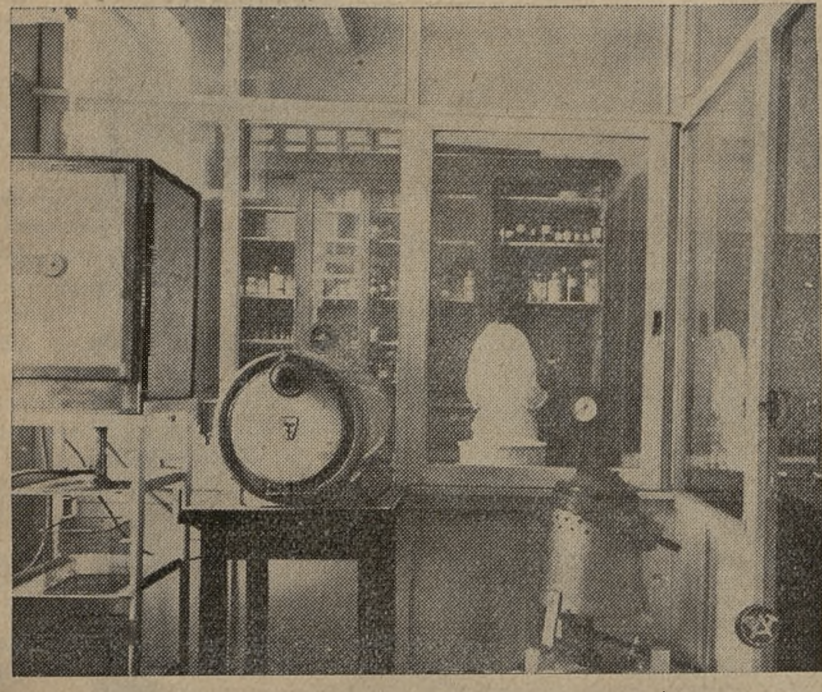
Pluton żołnierzy węgierskich na granicy polsko-węgierskiej na Przełęczy Tucholskiej, podczas uroczystości zbratania polskiego i węgierskiego Związku Myśliwskiego w dniu 25 czerwca.



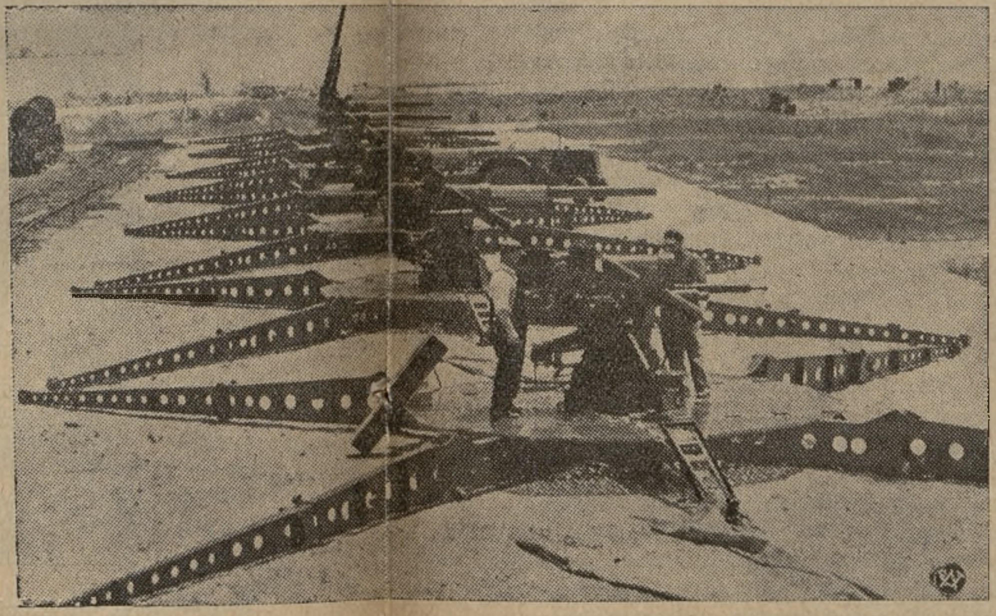
Do Zaleszczyk przybył ostatnio J. E. ks. biskup Gawlina, witany na dworcu przez przedstawicieli władz, tłumy ludności i dziatwę szkolną.



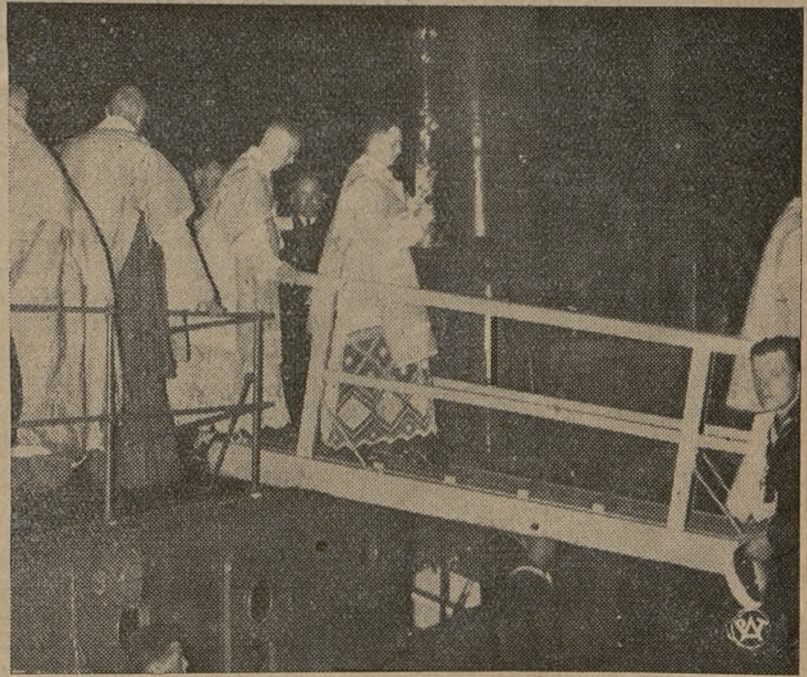
Fragment święta morza, zorganizowanego przez Polaków w Paryżu.



W dniu 28 czerwca nastąpiło w Gdyni uroczyste poświęcenie Instytutu Higieny Morskiej i Tropikalnej, uruchomionego przez Państwowy Zakład Higieny.



Amerykańskie działa przeciwlotnicze.



W ramach kongresu eucharystycznego odbyła się na wodach polskiego Bałtyku pierwsza w dziejach Polski procesja morska, którą prowadził Prymas Polski Ks. Kard. Dr. A. Hlond.

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Słowa: „nie damy się od Bałtyku odepchnąć" są wyrazem niezłomnego przekonania wszystkich Polaków. Mają one głęboki sens, znaczenie większe od wielu innych sformułowań. Szczególne znaczenie tych słów zrozumie każdy, kto uprzytomni sobie, że są one wyrazem zdecydowanej woli walki o silną pozycję Polski nad Bałtykiem.

PRZEMÓWIENIE PANA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

w dniu 29 czerwca br. wypowiedziało to wszystko, co czuje cały naród:

„Gdy dzisiaj, w dniu świętych apostołów Piotra i Pawła, patronów rybaków, myśl nasza biegnie wzdłuż Wisły, królowej polskich rzek, do Gdańska i Gdyni, do portów i wsi rybackich, do tych, którzy pracują na wybrzeżu i morzu i do tych, którzy pełnią nad nim zaszczytną straż — a więc naszej marynarki wojennej — to jest to tylko odświętny, radosny wyraz stałej, codziennej, nierozerwalnej łączności wszystkich Polaków z ziemią pomorską. Bo choć każdy zagon ziemi polskiej jednako nam jest drogi i bliski, jednako składa się na wielką całość naszej ojczyzny, ale ziemia pomorska i brzeg nadmorski — fundamenty naszej niezależności gospodarczej i politycznej — są powietrzem i słońcem naszego życia państwowego. Świadomość tej wartości żyje dzisiaj w sercach i umysłach wszystkich Polaków, a im większe napotykamy przeciwności — im bardziej nieprzyjazne są okoliczności zewnętrzne, tym niezłomniej ujawnia się nasza wola i gotowość ponoszenia największych ofiar, po to, by powrót państwa polskiego nad morze wykorzystywać i utrwalać po wsze czasy.

Powróciliśmy nad Bałtyk jako państwo, bo ostaliśmy się nad nim nieprzerwanie jako naród, stąd w dniach radosnych, poświęconych morzu, myśl nasza biegnie i ku przeszłości, składając hołd pamięci tych pokoleń, które okres niewoli nieugięcie nad Bałtykiem przetrwały. Powracając nad morze państwo nasze niosło pokój i dobrodziejstwa twórczej pracy, którą ożyło całe polskie wybrzeże. Dzisiejsze pokolenie nie zmarnowało lat, które są już poza nami, odrobiło i w tej dziedzinie wiele zaległości i zaniedbań, wygrało niejedną bitwę w wyścigu pracy, nakazanym nam przez Józefa Piłsudskiego. Tej pracy pokojowej chcemy i nadal poświęcać się dla dobra Rzeczypospolitej, na pożytek własny i innych narodów, z którymi pragniemy coraz to szerzej rozwijać nasze stosunki gospodarcze i kulturalne.

Silni na lądzie i w powietrzu pragniemy stać się silnymi i na morzu, by zapewnić nieprzerwany rozwój naszej pracy morskiej, by w pełni móc rozwinąć morskie powołanie narodu polskiego".

Jednolita postawa, jaką wykazuje Polska wobec zagadnień morskich, przyczynia się do tego, że „dni morza", które obchodzono uroczyście w całym kraju, mają swoją szczególnie doniosłą wymowę.

I powinno być dla całego świata rzeczą jasną to wszystko, co Polska zgodnym wystąpieniem w czasie „dni morza" stwierdziła.

„Dni morza" mówią o tym, że w świadomości najszerszych mas narodu polskiego istnieje głębokie zrozumienie ogromnego znaczenia, jakie dla swobodnego rozwoju Państwa Polskiego ma niczym nieskrępowany, wolny dostęp do morza.

„Dni morza" mówią o tym, że Polska Odrodzona nie powtórzy historycznego błędu, jakim było niedocenianie morza przez naszych przodków, lecz wprost przeciwnie — włoży maksimum energii i sił w umocnienie się na Bałtyku.

„Dni morza" mówią o tym, że nikt nie może bezkarnie stanąć na przeszkodzie polskim interesom nad Bałtykiem.

„Dni morza" mówią o tym, że Polska nie dopuści w żadnym wypadku do zmian, które mogłyby zaszkodzić jej interesom morskim niezależnie od tego, kto i w jakiej formie zmiany takie pragnąłby powodować.

Wymowa „dni morza" jest jasna i przez swoją ostrą i bezwzględną formę posiada szczególną aktualność.

GDAŃSK ZAGADNIENIEM KLUCZOWYM

T. zw. sprawa Gdańska, która nigdy nie była jedynie zagadnieniem gdańskim, t. zn. sprawą ustroju i sytuacji prawno-politycznej tego miasta, a zawsze zagadnieniem dostępu Polski do morza i kwestią jej niezależności, stała się dziś kwestią kluczową dla układu sił w Europie. Rozumie to już dziś cały świat. Rozumie przede wszystkim Francja i Anglia, które na zasadzie dwustronnych gwarancji oddały Polsce prawo decydowania o tym, kiedy na skutek naruszenia interesów polskich nad Bałtykiem front sprzymierzonych wystąpi zbrojnie przeciw Rzeszy. Jakże daleko odbiegliśmy od roku 1919, kiedy Lloyd George chciał oddawać Gdańsk Niemcom i od roku 1935 czy 1936, kiedy Anglikom wydawało się, że wszystko, co się dzieje poza linią Renu, nie jest warte krwi jednego angielskiego grenadiera!

Nieugięta postawa Polski zahamowała nieprzerwane postępy ekspansji i zdobyczy niemieckich na przestrzeni lat ostatnich, co spotykało się przez długi czas jedynie z ustnymi protestami mocarstw zachodnich. Ta postawa stała się też ośrodkiem krystalizacji oporu i wywołała przewrót w polityce zachodu. Obecnie z ust angielskich i francuskich mężów stanu padają słowa zdecydowane, znajdujące poparcie całego społeczeństwa obu krajów.

Premier Daladier stwierdza w przemówieniu zamykającym sesję parlamentu francuskiego:

„...Powracając teraz do waszych okręgów wyborczych, musicie sobie i innym zaszczepić to głębokie przekonanie, że nie będzie już nigdy bezpieczeństwa na Zachodzie, jeżeli się nie sprzeciwimy Niemcom na Wschodzie".

Król Jerzy angielski deklaruje gotowość Imperium Brytyjskiego do wojny celem wykonania przyjętych zobowiązań. Lord Halifax, brytyjski minister spraw zagranicznych, oświadcza, iż „jeśli zniknie bezpieczeństwo i niepodległość innych krajów, nasze bezpieczeństwo i niepodległość będą zagrożone".

Prasa angielska i francuska bez wyjątku stwierdza,

że naród angielski i francuski, bijąc się za Gdańsk, będzie się bił za Londyn, Gibraltar, Suez względnie za Strasbourg i za bezpieczeństwo i rozwój swojego kraju.

Sprawa Gdańska stała się więc zagadnieniem centralnym, od którego zależy przyszłość Europy, czy w Europie zapanuje twarda i grubiańska hegemonia niemieckiego prusactwa, czy też niemiecka buta zostanie złamana raz na zawsze skutecznie. Od tej rozgrywki zależy pozycja i byt Polski, uzyskania przez nas możliwości pod pełny mocarstwowy rozwój, czy też dziejowa klęska. Od losu zaś Polski zależy los całej środkowej, środkowo-północnej i środkowo-wchodniej Europy.

Ze strony państw Zachodu padły też ostatnio jeszcze jedne ostateczne ostrzeżenia przed próbami stworzenia przez Niemców w Gdańsku jakichś faktów dokonanych, choćby tylko od wewnątrz i na raty. Min. Bonnet zakomunikował to ambasadorowi niemieckiemu w Paryżu, premier Chamberlain oświadczył w Izbie Gmin, że w sprawie rozwoju sytuacji w Gdańsku utrzymuje ścisły kontakt z rządem polskim.

Polska zachowuje całkowity spokój. Jasne jest, że jeśliby pewne przygotowania i ruchy, odbywające się obecnie w Wolnym Mieście, zmieniły się w realne próby podważania praw polskich czy zmiany charakteru prawnego i politycznego Gdańska, Polska wkroczy w to na mocy przysługujących jej uprawnień. Niemcy spowodują w ten sposób pożar, w którym muszą zginąć.

Niemcy zdają się jednak rozumieć swoją obceną sytuację i przynajmniej chwilowo odwracają się od sprawy Gdańska.

Mimo tworzenia w Gdańsku „Korpusu ochotniczego" i budowanie umocnień wojskowych zainteresowania swoje skierowali znowu na Bałkany.

KUSZENIE BUŁGARÓW

przybrało znowu realne kształty. Do Berlina przybył z oficjalną wizytą premier bułgarski Kiosseiwanow. Wizyta ta posiada doniosłe znaczenie polityczne i jest dalszym ogniwem gorączkowo przez dyplomację niemiecką prowadzonej akcji opanowania Bałkanów. Pobyt Kiosseiwanowa w Berlinie związany jest, przynajmniej na zewnątrz, z kwestią zawarcia niemiecko-bułgarskiej umowy kulturalnej, pojmowanej przez dyplomację niemiecką jako ważny instrument otwierający drogę do dalszych akcji. W taktyce dyplomacji niemieckiej każdorazowa umowa kulturalna z danym krajem prowadziła w dalszej konsekwencji z reguły do politycznego podporządkowania kraju celom polityki niemieckiej. Umowa kulturalna poprzedziła polityczną współpracę Niemiec z Włochami, Hiszpnaią, Japonią itd.

Jakie konsekwencje będzie miała wizyta bułgarskiego premiera w Berlinie, trudno w tej chwili przewidzieć. Bułgaria ma pretensje terytorialne do Rumunii, Grecji i częściowo do Jugosławii, chociaż z tym ostatnim państwem łączą ostatnio Bułgarię dość przyjazne stosunki. Czy Bułgaria ulegnie kuszeniom albo nawet naciskom niemieckim? Prędzej nie niż tak.

Bułgaria ma już bowiem za sobą bardzo pouczającą lekcję za łączenie się z Niemcami, za wojnę światową. Kioseiwanow jest człowiekiem sprytnym i przezornym. Rozumie on chyba dostatecznie obecne położenie Niemiec i poza przyjaznym uśmiechem chyba zbyt daleko nie pójdzie.

ŻYJEMY W CZASIE NIEPOKOJU

Europa, a cały świat razem z nią, nie żyje ani w stanie wojny, ani w stanie pokoju — świat żyje w stanie niepokoju. Nikt nie wie, kiedy, kto, skąd i czemu nań uderzy — taki stan rzeczy trwa od lat czterdziestu.

Wielka wojna niczego na trwałe pod tym względem nie zmieniła, zarówno, jak i traktaty pokojowe, zawarte po jej ukończeniu.

Możnaby, oczywiście, wynaleźć sto i jeden powodów, czemu stan taki trwa niemal bez przerwy. Chcemy tu oświetlić pierwszy z nich — pozostałe sto powodów niepokoju pozostawimy w tych rozważaniach na boku.

Pierwszym i zasadniczym powodem wojennego niepokoju jest niechęć do wojny, nurtująca wśród większości państw i narodów. Tymczasem o przewadze militarnej decyduje nie ilość środków materialnych czy liczebność ludności, ale psychiczna predyspozycja do walki. Kto tej predyspozycji nie ma, kto prowadzi tak zwaną uważną politykę pokojową, tym samym skazuje się na obcy najazd i wyrzeka się tak wspaniałego atutu, jakim jest inicjatywa i zaskoczenie.

My musimy zdać sobie sprawę z obecnej sytuacji i wszelkich płynących stąd konsekwencyj.

Po pierwsze więc w sojuszu antyniemieckim, my, a nie kto inny, odgrywamy główną rolę. Od nas, a nie od Francji, Anglii czy Stanów Zjednoczonych zależy rozwój wpyadków i my tu mamy pierwszy głos. To muszą zrozumieć inni, ale zrozumieją dopiero wówczas, gdy dostrzegą, że cały Naród Polski wie o swej przewadze i z należnej roli nie zrezygnuje.

Nasze prawo do roli kierowniczej opiera się nie tylko do psychicznej i materialnej gotowości do walki — do tej roli predysponuje nas w nie mniejszym stopniu i nasz rozum polityczny.

Europę źre niepokój — niepokój lęku — i niezdecydowania, błędów i ustawicznego kołowania. Nam pokój potrzebny jest bardziej niż komu innemu, my bardziej niż inne wielkie narody chcielibyśmy mieć przed sobą dłuższy okres spokoju, aby zorganizować swą gospodarkę, ostatecznie zaleczyć rany zadane nam przez zabory i ustalić typ swojej rodzimej cywilizacji.

Mimo to my i tylko my, odłożywszy najbardziej palące wewnętrzne sprawy na bok, konsekwentnie szykowaliśmy się do prawdziwej pacyfikacji w Europie przez jedną dobrze przeprowadzoną i konsekwentnie zakończoną wojnę. Nasza polityka okazała się realna. Tylko my jesteśmy w stanie sobie samym, Europie i światu zapewnić w przyszłości trwały pokój. Twórcy Ligi Narodów, paktów rozbrojeniowych, Locarna, a w konsekwencji twórcy niemieckiej agresji muszą to przyjąć do wiadomości i zacząć się uczyć.

Od kogo?

Oczywiście od nas i od... historii.

Dwa tysiące lat temu Germanik, wódz rzymskich legionów, syn Dryzusa, pogromcy germańskich watah, tak powiedział:

„Germanów trzeba stłuc na miazgę, a gdy się dźwigną, znowu stłuc i tłuc, kiedy leżą jęcząc. Dopóki bowiem dolegają im rany, dopóty czczą rękę, która je zadała...".

Przepowiednia mnicha Hermana o Trzeciej Rzeszy

U schyłku XIII wieku żył w klasztorze Cystersów koło Poczdamu mnich Herman, któremu tradycja przypisuje księgę proroctw, kreślących przyszłe dzieje państwa Hohenzollernów i Niemiec powojennych.

Proroctwo Hermana ukazało się w druku po raz pierwszy w roku 1723. Odtąd było ono ze względu na swą trafność wielokrotnie przedrukowywane i komentowane.

Najobszerniejszy komentarz opracowano w r. 1827 z polecenia króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma III.

Jeżeli chodzi o przeszłość Niemiec, to proroctwa O. Hermana spełniły się w całej rozciągłości.

Mnich cysterski przepowiedział dokładnie powstanie cesarstwa niemieckiego w roku 1871 i bezpośrednio po rozdziale przepowiedni, dotyczącym tego wydarzenia dziejowego dodaje: „Sed populus tristis flebit temporibus istis, nam sortis mirae videntur fata venire". („Naród atoli gorzko płakał w tych czasach, gdyż zdają się nadchodzić dziwnego rodzaju przeznaczenia").

Okres „dziwnych przeznaczeń", to okres wojny światowej i klęski Niemiec.

Jest rzeczą charakterystyczną, że O. Herman nazywa następcę Hohenzollernów — „princeps" — „naczelnik", „wódz".

Ów „princeps" — poniesie druzgocącą klęskę, ponieważ „nescit quod nova potentia crescit" („nie wie, że urasta nowa potęga"), nie zdaje sobie sprawy, że obok niego wyłoniła się siła, z której rozmiarów nie zdaje sobie sprawy.

Jedni z komentatorów przepowiedni O. Hermana twierdzą, że potęgą tą, której naczelnik państwa niemieckiego nie docenia, będzie Polska — inni — w potędze tej widzą rewolucję.

Po upadku „naczelnika" „dzierżyć będzie berło ostatni z rodu" (Hohenzollernów).

Powrót monarchii nie przyniesie jednak Niemcom szczęścia i nie ugruntuje ich potęgi, a światu nie przywróci upragnionego pokoju.

Niemcy staną znowu w ogniu straszliwej wojny domowej.

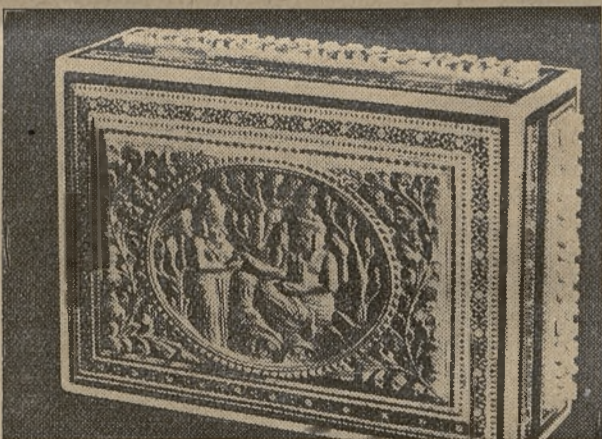
W wojnie tej zwyciężą pognębione obecnie Niemcy katolickie: „Et pastor gregem recipit, Germania regem" (A pasterz odzyska trzodę, Germania króla). Całe Niemcy wrócą do jedności kościelnej, a na tronie zasiądzie, jak tłumaczą komentatorowie, Habsburg.

Z legend i baśni pomorskich

Dzwony w Krokowie

Przed laty istniał w majętności Krokowie, dziedzicznym gnieździe możnych panów Krokowskich, kościół katolicki, wystawiony ku czci św. Katarzyny. Ale przybyli w tamte strony zwolennicy Lutra i kościół zabrali. Z dawnej świątyni zachowały się jednak dzwony. Więc dziś nawet, gdy kto dobrze się wsłucha w dźwięki rozkołysanych dzwonów, które przy cichej pogodzie rozbrzmiewają po strąd morski i zlewają się z łagodnym pluskiem wałów, przekona się, że powtarzają one słowa: „Je - ste - śmy ka - to - li - ki!"

Ludzie powiadają, że te dzwony wrócą jeszcze do kościoła katolickiego, który powstanie na miejscu dzisiejszego, bo stara wiara zwycięży.



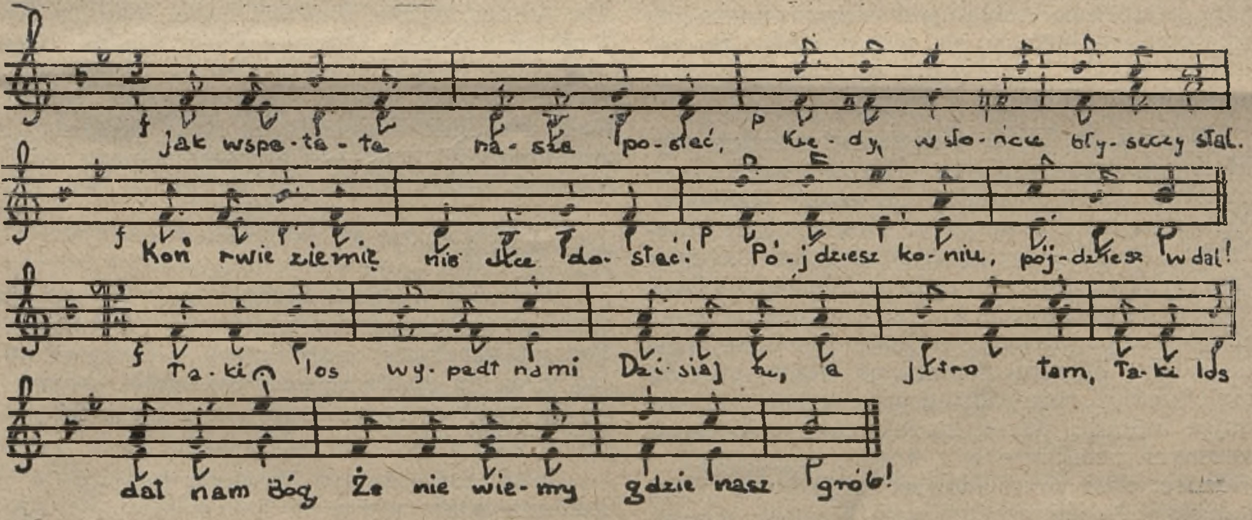
Ks. Władysław Klimczyk, misjonarz Salezjański w Południ. Indiach w Jalarpet, po 10-letn. pracy misyjnej wśród pariasów (najuboższej ludności) przybył na krótki pobyt do Polski. Przed wyjazdem z Indii księdza Klimczyka nawróceni pariasi wręczyli mu 50 rupii (100 zł), zebrane z datków, na polski F. O. N., jako wyraz wdzięczności i uznania dla ofiarnej pracy Polaka, z prośbą, by je wręczył Naczeln. Wodzowi Polski P. Marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi. Na zdjęciu szkatułka z pieniędzmi, przeznaczonymi na F. O. N. Szkatułka zrobiona jest z kości słoniowej i ozdobiona rzeźbą z drzewa sandałowego.



GRUNWALD

Jak wspaniała nasza postać

Słowa Józefa Tetmajera
Melodia z r. 1831.



1. Jak wspaniała nasza postać,
Kiedy w słońcu błyszczy stal,
Koń rwie ziemię nie chce dostać!
Pójdziesz koniu, pójdziesz w dal!
Taki los wypadł nam,
Dzisiaj tu, a jutro tam, taki los
Dał nam Bóg, że nie wiemy, gdzie nasz grób.

2. Nie płacz matko, nie płacz wiele,
Tylko jedną łezkę zroń;
Pójdźcie drodzy przyjaciele,
Niech uściskam waszą dłoń!
Taki los wypadł nam,
Dzisiaj tu, a jutro tam, taki los
Dał nam Bóg, że nie wiemy, gdzie nasz grób.

3. Czyż nie mamy żyć wesoło,
Wszak nie wiemy, gdzie nasz grób;
Mała kulka świśnie w czoło
I o ziemię runie trup!
Taki los wypadł nam,
Dzisiaj tu, a jutro tam, taki los
Dał nam Bóg, że nie wiemy, gdzie nasz grób.

WOJCIECH ZORZA

Holendrzy i Duńczycy - nie Prusacy skolonizowali Gdańsk i niziny nadwiślańskie

— Praniemiecki Gdańsk! Praniemieckie osiedla u ujścia Wisły. Niemcy kolonizowali ziemie polskie! — słyszymy to coraz częściej od kierownika propagandy Trzeciej Rzeszy, czytamy w różnych mniej lub więcej „naukowych“ tygodnikach i miesięcznikach, pozostających pod kierownictwem dr Goebbelsa.

Taki „Jomsburg“ — wydawnictwo S. Hirnela w Lipsku poświęciło raz specjalny numer zagadnieniom ludów i państw wschodniej i północnej Europy. Zamieszczono szereg map Polski. Kolonizację niemiecką zaznaczono na nich bardzo obficie, bo aż poza Sandomierz. Popstrzona na czerwono jedna z tych map i zadrukowana napisami w alfabecie łacińskim, zamiast obowiązującego dziś w Rzeszy gotyku (coś dla zagranicy!) — ma wykazać, jak dalece są uzasadnione roszczenia niemieckie do ziem Polski po lewej i prawej stronie Wisły.

To zachłystywanie się i podmalowywanie map „praniemieckością“ jest niczym innym jak wmawianiem tego co nie jest prawdą. Bo jak w rzeczywistości historycznej wygląda owa „praniemieckość“ Gdańska i okolicy?

Gdańsk do XVIII stulecia był miastem wybitnie międzynarodowym. Wśród jego mieszczaństwa wśród Polaków przeważali Duńczycy, Flamandczycy i Holendrzy. Niemcy byli na ostatku. Po okrutnej rzezi gdańszczan za opór Fryderykowi, mnóstwo rodzin Holendrów i Duńczyków wywędrowało do Polski w okolice mniej zaludnione po prawej, a najwięcej po lewej stronie Wisły. Za nimi dopiero po latach, przyciągnęli Niemcy, sprowadzani przez zaborców, mieszając ludność, wśród której nie brakło spolszczonych uciekinierów z krajów zachodnich i Niemiec, ofiar prześladowań religijnych. Wielkoduszna Polska przyjmowała bowiem wszystkich.

Liczne rodziny, zwłaszcza holenderskie — chociaż z czasem musiały, podobnie jak Polacy pod zaborem, ulec wpływom germanizacji, do dziś zachowały swoją odrębność pomimo przyjęcia z biegiem czasu mowy niemieckiej i odstąpienia kościołów urzędowemu wyznaniu ewangelickiemu. Ale ich mowa nie jest czysto niemiecką. Świadczy o tym wybitnie „platt“ gdański, czyli gwara ludowa. Przypomina ona nadal holenderską, a w ogóle, jeżeli używany tam „platt“ wcale nie jest podobny do „plattu“ z głębi Niemiec. Wielokrotnie już na to zwracali uwagę kulturalni Niemcy jeszcze w czasach przedwojennych, ogromnie narzekają do dziś na niezrozumiałość mowy „wschodniopruskiej“ robotnicy niemieccy, sprowadzani z południa Niemiec. Bo jest to mowa właściwie polsko-holenderska, zaprawiona dialektem mazurskim i niemieckimi terminami urzędowymi.

Podczas zaboru pruskiego Polacy na Pomorzu nie używali nazw innych na określanie pewnych podgdańskich miejscowości jak ich nazw starych. Jeździło się do Olędrów Niskich, Wysokich, Gdańskich, Górzystych, Świeckich, Pałubskich... Olędry — czyli Holendry od Holendrów.

Nie tylko w nazwach miejscowości zachowały się ślady nie germańskiego pochodzenia ludności Gdańska, również w nazwiskach jej samej. Do dziś w Gdańsku i całej rzekomo „praniemieckiej“ okolicy spotykamy rodziny Rodeckerów, Kreugerów, Hasenickerów — „burów“, czyli rolników. Stąd też wzięło się polskie słowo „gbur“ na określenie gospodarza. A z mieszczan znamy do dziś takie nazwiska jak Als, Amner, Aycke, Baasner, Dyck, Meuller, Rodenburg, Claasen, Damme, Flier, Flodde, Gokkes, Hoge, Jaans, Bosecher, Maas, Deorkseen, Spohd, Schaad, Polleg, Doettlaf, Prior, Wyller, Kall, Strellger, Hassenbryck itp., niekiedy z przydomkiem „van“ zamiast niemieckiego „von“. Nazwisk takich przytaczać można tu bez liku.

Niechaj powie p. Goebbels, że są to nazwiska „urdeutsch“?

Rodeckery, Doettlafowie i inni siedzą na ziemi gdańsko-nadwiślańskiej już od wieków. Tak jak przeliczni ongiś Polacy, o czym świadczą teraz na gwałt tępione nazwiska, kończące się na zniemczone już coprawda, ale zawsze polskie „sky“, „witz“ czy „ek“, „ak“.

Jeżeli zaś chodzi o Niemców kolonistów w dorzeczu Wisły na terenie Rzeczypospolitej, błędem było poniekąd, żeśmy dotychczas nie wniknęli na panujące między nimi odrębności rodowe i zamiast utrzymywać dla nich kosztownych i nielojalnych pastorów niemieckich, nie postarali się o najbardziej im bliskich pastorów narodowości holenderskiej. Ale to jeszcze da się odrobić.



UCZMY SIĘ RATOWNICTWA

UTONIĘCIE

Cieszymy się latem, pięknymi długimi dniami: chętnie korzystamy z chłodnych kąpieli, gdy skwar słoneczny zanadto nam się daje we znaki. A jednak... jak wiele nieszczęśliwych wypadków zdarza się przy tej sposobności! Każda gazeta, wzięta do ręki w miesiącach letnich, donosi nam o nowym wypadku utonięcia. Zwłaszcza rzeki głębokie lub też mające zmienne dno, są często terenem wielu nieszczęść.

Musimy się zastanowić, kto ponosi winę w tych wypadkach. Bardzo często sam topielec, jego nieostrożność lub lekkomyślność są przyczyną katastrofy. Wiemy, że najczęściej toną nagle ludzie w dniach bardzo upalnych, gdy zgrzani, rozpaleni wchodzą do zimnej wody. Taka gwałtowna zmiana temperatury może wywołać zaburzenia sercowe, kończące się bardzo często fatalnie. Czytamy lub słyszymy o faktach, że dana osoba krótki tylko czas była pod wodą, a jednak nie udało się jej odratować. W tych razach można przypuszczać, że nastąpiły jakieś zaburzenia ze strony serca.

Nie można też zapominać o przykrym, bolesnym skurczu mięśni, który nieraz nagle chwyta człowieka w wodzie i nie pozwala mu na ruchy. Nawet dobry pływak może zginąć w tych warunkach, jeśli znajdzie się na głębi i nikt mu nie udzieli pomocy.

Nieraz wreszcie toną ludzie, którzy wchodzą do wody bezpośrednio po obfitym posiłku lub też wyraźnie zmęczeni.

W dzisiejszym artykule nie będziemy się jednak zastanawiali obszerniej nad przyczynami utonięć. Musimy zająć się inną sprawą, będącą obecnie bardzo na czasie: ratowaniem topielców.

Człowieka wyciągniętego na brzeg trzeba rozebrać i ułożyć w takiej pozycji, aby górna część jego ciała zwisała niżej w porównaniu z dolną. Można to uskutecznić, przewieszając topielca przez ławę, kłodę drzewa, nawet przez nasze własne kolano. Małe dziecko możemy poprostu unieść do góry, trzymając je za nogi.

Zabieg ten ma na celu usunięcie w sposób mechaniczny wody, która dostawała się do oskrzeli, płuc, żołądka naszego pacjenta. Po wykonaniu powyższej czynności przystępujemy do dalszych etapów ratowania.

Jeżeli topielec oddycha — rola nasza ograniczy się do rozcierania jego ciała i — o ile jest przytomny — do podania mu rozgrzewającego napoju (kawa, herbata). Z takim jednak wypadkiem spotkamy się stosunkowo rzadko. Zazwyczaj człowiek wyciągnięty z wody nie oddycha przez dłuższy czas. Musimy temu zaradzić, bo przecież każdy z nas wie, że bez oddychania nikt nie może żyć ponad kilka minut. Przede wszystkim trzeba się więc przekonać, czy jama ustna i gardło topielca nie są zatkane piachem, mułem, wodorostami. W tym celu rozwieramy szczęki, wsuwamy między nie jakiś tępy twardy przedmiot (np. kawałek patyka), aby się usta nie mogły zamknąć, a potem palcem owiniętym czystą szmatką lub chusteczką obmacujemy wnętrze jamy ustnej i wygarniamy z niej owe zanieczyszczenia, które mogły się tam znaleźć. Dopiero gdy jama ustna jest już oczyszczona — bierzemy się do stosowania sztucznego oddechu.

Jest parę sposobów wykonywania tego zabiegu; przytaczam jeden z nich.

Chorego układa się na brzuchu z głową przekręconą lekko na bok (mogą wystąpić wymioty). Ratownik klęka nad chorym okrakiem w takiej odległości, aby móc rękami objąć z tyłu jego najniższe żebra. Normalny oddech składa się z 2 części: wdechu, kiedy wciągamy powietrze do płuc i wydechu, podczas którego powietrze wydalamy z dróg oddechowych. Przy tym sposobie sztucznego oddechu, który tu podaję, ratownik wykonywuje tylko **wydechy.**

W jaki sposób to robi? Klęcząc nad pacjentem przechyla się ku przodowi ku głowie chorego i **uciska ostatnie żebra** pacjenta dłońmi, ułożonymi płasko na plecach. Ten okres zabiegu powinien trwać około **3 sekund,** po czym ratownik **odrywa ręce** i odpoczywa **około 2 sekund.** W tym okresie odbywa się wdech — już bez naszego udziału.

Ruchy powyższe należy wykonywać spokojnie, równomiernie, systematycznie. Nie trzeba się śpieszyć!

Jeżeli język topielca zapada do gardła — trzeba go wyciągnąć i przywiązać do brody.

Czas trwania sztucznego oddechu bywa różny. Czasem wystarczy parę minut, innym razem dopiero po 1 — 2 godzinach topielec zaczyna wracać do życia. **Nie wolno nam zrezygnwoać zbyt szybko z dalszego ratunku!** Zasadniczo nie powinno się przerywać sztucznego oddechu przed przybyciem lekarza, chyba że chory sam oddychać zacznie. W tym ostatnim wypadku — okrywamy go ciepło, dajemy coś gorącego do picia i nadal zapewniamy mu opiekę. Topielcy przywróceni do życia, po wydobyciu z wody, nieraz zapadają na zapalenie płuc lub inne choroby, nie można więc uważać ich za zupełnie zdrowych z chwilą odratowania.

Przestrzegam Was usilnie przed rozpowszechnionym u nas w Polsce, a niebezpiecznym przesądem: są ludzie, którzy układają topielca na jakiejś płachcie i huśtają bez końca, sądząc, że to go uzdrowi. Oczywiście, podobne „ratownictwo" nie ma najmniejszego znaczenia leczniczego! Odwrotnie: postępując w ten sposób, tracimy cenny czas, który może zdecydować o odratowaniu chorego.

Pamiętajmy więc, że **postępowanie z wydobytym na brzeg topielcem powinno polegać na: 1) usunięciu wody z dróg oddechowych, 2) oczyszczeniu jamy ustnej i gardła, 3) systematycznym cierpliwym wykonywaniem sztucznego oddechu.**

Jak należy postępować, aby się nie narazić na utonięcie, dowiecie się z innego artykułu.

Dr Maria Śliwińska.

Prawdziwe oblicze armii Niemieckiej

Ażeby zrozumieć teraźniejsze stanowisko i rolę armii niemieckiej, musimy cofnąć się w okres rewolucji z lat 1918—1919. W owych gorączkowych dniach z przed dwóch dziesięcioleci założono pierwsze zręby dzisiejszej Reichswehry. Ponieważ nie dozwolono werbować do szeregu więcej niż 8.000 ludzi rocznie, więc brano tylko najlepszych. Ponieważ zaś okres służby wyznaczono na lat 12, przeto można się było pokusić o osiągnięcie takiej doskonałości wyszkolenia wojskowego i takiego poziomu ogólnego rozwoju umysłowego, jakich nigdy ani przedtem ani potem nie osiągano.

Co natomiast trudno było w nowych warunkach osiągnąć, to spoistość wewnętrzną Reichswehry. Pod rządami Hohenzollernów armia czuła się mieczem w rękach cesarza, wzniesionym wysoko ponad walki polityczne: mieczem, który jaśniał majestatem tronu. Teraz, pod chwiejną władzą republiki, armia stała się podporą rządów, wyłanianych przez parlament, a w parlamencie rej wodziły partie, skłócone między sobą. Każda z nich ubiegała się o wpływy nad wojskiem. Wszystkie razem, ścierając się między sobą, groziły rozsadzeniem jego jedności. Wdrożony do posłuszeństwa instrument wojskowy napróżno szukał dłoni, któraby nim pokierowała. Kierownictwo polityczne Rzeszy było rozbite i z biegiem lat, miast się umacniać, w coraz większy popadało chaos.

W takich warunkach, Reichswehra, nie znajdując nad sobą pana, sama stała się panią położenia. Ona to w pewnym okresie wyniosła ku władzy Stresemanna, a potem kolejno wspierała Brünninga, von Papena, wreszcie ujęła rządy sama w osobie gen. Schleichera. Lecz wspierając innych, lub nawet rządząc sama, nie przestawała wspierać Adolfa Hitlera, w którego ideologii widziała odbicie wielu swoich własnych poglądów i dążeń, w którego partii słusznie widzieć mogła poniekąd swoje własne dziecko.

To też dzień 30 stycznia 1933 r., dzień objęcia władzy przez Hitlera, armia niemiecka święciła jako dzień własnego triumfu.

Ale ten dzień triumfu był ostatnim dniem jej niezależnego w państwie stanowiska. Armia niemiecka pod rządami Hitlera została rychło sprowadzona do roli równie poddańczej i uległej wobec partii panującej, jak armia rosyjska pod rządami Stalina.

Abdykacja Reichswehry była wyraźna, ale ze stanowiska partii niedostateczna; dopóki armia zachowywała niezależność w swej własnej sferze działania, póty stanowiła dla reżimu utajoną groźbę, jako możliwy punkt zjednoczenia dla wszystkich odłamów opozycji. Złamać autonomię wojska, podkopać jego autorytet i poddać wpływom partii, oto jakie miały być dalsze kroki Hitlera.

Kroki te znakomicie ułatwiła i przyśpieszyła przywrócona podówczas powszechna służba wojskowa, która, rozsadzając jednolite i zwarte dotychczas jednostki Reichswehry, roztopiła je w olbrzymiej, surowej masie nowego poboru. Praca dozbrojenia szła w parze z ustawicznymi zamachami rządu na samistność, którą Reichswehra cieszyła się wciąż jeszcze wewnątrz swego królestwa. Partia zawzięła się, aby rozciągnąć na wojsko władzę Gestapo, a także sławetne ustawodawstwo rasistowskie. Niemniej silne ataki szły w tym kierunku, ażeby zniweczyć wszystkie owe tradycje, które armię wyodrębniały od „kierowanej myśli" i spętanego życia Trzeciej Rzeszy. Tradycje, które nazizm zapragnął zniweczyć w armii, sięgały od jej wierzeń chrześcijańskich aż do zewnętrznego wojskowego pozdrowienia.

Walka z duchem armii okazała się trudniejsza, niż z jej stanowiskiem politycznym w państwie. Większość dowódców, jakkolwiek posłuszna reżimowi, miała nie wiele sympatii dla jego na świat poglądu. Retoryczne wykłady, teorii „narodowo-socjalistycznej", głoszonej na zgromadzeniach wojskowych przez luminarzy partyjnych, nie dały wyników oczekiwanych, gdy tymczasem propaganda szerzona w wojsku przez Rosenberga i jego apostołów do najwyższego stopnia jątrzyła oficerów, którzy nie widzieli w niej żadnych wychowawczych pierwiastków żołnierskich.

Zdumiewający opór nasizmu spowodował rząd do podjęcia bardziej stanowczych kroków. Latem r. 1936 niezależny statut armii uległ zmianom, które wniosły doń szereg zastrzeżeń i ograniczeń. Była to chwila, gdy powaga armii została nadszarpnięta wskutek popełnionego przez nią błędu w przesadnej ocenie następstw, jakimi wedle niej grozić miało zajęcie Nadrenii. Przepowiedziane przez nią niebezpieczeństwo okazało się złudą. Sukces Hitlera był olśniewający. Nie omieszkał też wyzyskać go należycie, okrutny biorąc odwet na opornych generałach.

Odwet ten wyładował się w dwóch dekretach, wymierzonych przeciw autonomii wojska, a mających niezmierne znaczenie dla kształtowania się jego siły bojowej.

Dekret pierwszy skasował organizację rezerwistów, stworzoną w r. 1937, gdy pierwszy zastęp żołnierzy, pochodzących z poboru powszechnego, zwolniony został ze służby. Odtąd kontrolę nad rezerwistami poruczono partyjnej organizacji wojskowej, czyli t. zw. szturmowcom (S. A.). Dzięki temu Sturmabteilungen, które od r. 1934, tj. od krwawej rozprawy z majorem Röhmem, ich szefem, pozostawały w cieniu, wysunęły się znów na widownię i zaczęły grać dawną rolę zorówno polityczną, jak wojskową. Całe wychowanie fizyczne oraz ideologiczne materiału ludzkiego, oddane zostało w ręce „Koszul Brunatnych", sprowadzając zadania armii jedynie do militarnego wyćwiczenia żołnierzy, pozostających w służbie i w rezerwie. W ten sposób wrócono do dawnych zamierzeń Röhma, szefa sztabu S. A., zamierzeń, których próbę urzeczywistnienia ten stary opiekun i przyjaciel Hitlera przypłacił życiem.

Na zewnątrz pozycja oficerów armii pozostała ta sama. Nie pokuszono się o ich zrównanie z dowódcami szturmówek partyjnych. Lekcja z r. 1934, gdy usiłowania tego rodzaju zostały ujawnione, spotkały się z natychmiasotwym oburzeniem i oporem Reichwehry, wywarła swój skutek. I rzeczywiście, podobnemu zarządzeniu stanęły na przeszkodzie względy nawet często militarne, gdyż dowódcy S. A., jak pokazała wrześniowa mobilizacja ub. r., poprzedzająca zajęcie Sudetów, zupełnie nie zdali egzaminu z najskromniejszych zadań wojskowych, jakie im przypadły w udziale.

Ciosem nie mniej głębokim uderzył w statut oficerów armii drugi dekret Hitlera, wydany styczniu br.

W myśl tego nowego dekretu Związek Oficerów Rzeszy Niemieckiej oddany został pod kierownictwo Reichskriegsführera generała-majora Reinharda, stojącego na czele „narodowo-socjalistycznego” związku wojskowych. Na drodze, wiodącej do upartyjnienia armii, zrobiono nowy krok decydujący. Stawiając oficerów Reichswehry w ramach organizacji, obejmującej dotąd wyłącznie szeregowców i podoficerów, a będącej pod wyłączną kontrolą partii niemieckiej, Hitler za jednym zamachem podciął dumną odrębność hierarchii wojskowej, stanowiącej klasę osobną i zamkniętą w sobie, a stojącą na świeczniku państwa.

Jednym dekretem dotychczasowi, tradycyjni władcy Rzeszy, sprowadzeni zostali do roli zawodowców broni. Rzeczono im z wyżyn dyktatury: odtąd macie być najprzód żołnierzami, potem dopiero — oficerami!

Takie jest tło, na którym rozpatrywać i oceniać należy zwartość oraz sprawność militarną dzisiejszej Reichswehry. Co się tyczy żołnierza szeregowego, sytuacja jest nie najgorsza, ale bynajmniej nie świetna. Podczas kryzysu wrześniowego w r. ub. stan moralny przeważnej liczby oddziałów, zwłaszcza źle zaopatrzonych rezerwistów, wykazywał niedwuznaczną a głęboką depresję. Wszyscy wiarygodni świadkowie stwierdzali w zmobilizowanych masach zupełny brak animuszu obok najsmutniejszych przeczuć co do wyniku przedsiębranej wojny. Monachium i niespodziewaną wieść o pokoju powitano w szeregach niemieckich jako wybawienie z pod ucisku potwornej i dławiącej zmory. Wszelako ulga nie trwała długo. Już najbliższe miesiące, zagęszczając nowe chmury wojenne na widnokręgu, wniosły w szeregi armii powrotną falę niepokoju i przygnębienia.

Nowe zdobycze i zabory, które tak wydatnie rozszerzyły terytorium Rzeszy, schlebiają oczywiście pysze narodowej Niemców, ale jednocześnie ściskają serca żelaznym pierścieniem trwogi na myśl o rachunku, którym prędzej czy później — wypadnie płacić.

Doświadczenie lat 1914—1918 wyparowało, być może, z głów nowych władców Rzeszy, ale żyje w jej uciemiężonym ludzie. Uczucia zaś i przeświadczenia ludu udzielają się szeregom żołnierzy.

Wojna, skoro wybuchnie, będzie dla armii niemieckiej wojną obowiązku i przymusu, wojną rezygnacji, wojną bez złudzeń. Nie będzie, jak w roku 1914, wojną zapału i zaślepionej wiary. W. M.

„A W NIEDZIELĘ... NA WYCIECZKĘ“

Nadeszło lato. Wieś pracuje teraz w pocie czoła od świtu do późnego wieczora. Trudno marzyć o czytaniu książek, czy innych rozrywkach. Ledwie czasu starczy, by w porze obiadowej, lub wieczornej, chwycić gazetę i przejrzeć chociaż najważniejsze wiadomości.

Świetlice nieczynne, organizacje i towarzystwa różnego rodzaju zmuszone były czasowo zawiesić swą działalność.

Nadchodzi niedziela, lub inne święto. Każdy podświadomie radby oddać się jakiejś godziwej rozrywce, ale..., ale właściwie nie wiadomo, co z sobą począć. Nikt o tym zawczasu nie pomyślał, niczego nie przygotował. Snuje się tedy młodzież bezplanowo po wiosce. Antek zajrzy do Kuby, aby posiedzieć z nim na płocie,pogwarzy o wszystkim i o niczym, Walek drzemnie się na ławce w izbie, Zośka leży pod gruszą zapatrzona w obłoki... itd. — Czasem w karczmie wieczorem odbywa się zabawa, to znów ktoś zjedzie w gościnę, czy też samemu wypadnie wyjechać, ale są to wypadki raczej rzadkie i dzień świąteczny przemija monotonnie, bardzo monotonnie.

A szkoda, bo można by dzień ten wykorzystać bardzo przyjemnie.

Nie wchodzą tu w grę ani pieniądze, ani też jakiś specjalny wysiłek połączony z przygotowaniami, gdyż zasadniczo te dwie rzeczy odstraszają ludzi, zwłaszcza w okresie letnim, lecz chodzi o to, by znalazł się ktoś dosyć energiczny, pomysłowy, kto potrafiłby rzucić projekt, zgrupować dokoła siebie młodzież i z nią ten projekt zrealizować.

Nie musi to być koniecznie zaraz nauczyciel; rolę tę może doskonale spełnić przodownik świetlicowy, czy któryś z członków miejscowej organizacji, lub też wybitniejszy kursista. — Nazwijmy tego człowieka, kim by on nie był: przodownikiem, gdyż właśnie on będzie przodował wśród młodzieży.

Zbliża się niedziela. Przodownik proponuje wspólną wycieczkę do lasu odległego o kilka kilometrów. — Chętni znajdą się na pewno. Ten zabierze skrzypki, tamten harmonię, czy popularne „organki” i przygrywając, pośpiewując piosenki ludowe, wyrusza cała gromada rankiem do lasu. — W drodze zachodzą do kościoła, znajdującego się we wsi, przez którą trasa wypada. A potem dalej w drogę. — Wesoło, przyjemnie, boć w gromadzie zawsze inaczej się idzie, niż jednemu. W lesie zaczynają się zabawy, śpiewy, żarty... Czas leci tak szybko, że nim człowiek się obejrzy, a już pora do domu wracać.

Czyż nie milsza taka wycieczka, niż samotne leżenie pod gruszą, lub bezcelowe wałęsanie się po wsi?

Innym razem przodownik proponuje wyprawę nad jezioro, to znów do sąsiedniej świetlicy itp.

Wycieczka nabiera większej wartości jeżeli połączone jest z nią poznawanie zabytków i przeszłości okolicy. — Każdy się chwali, że zna sąsiednie wioski na wylot, a gdy przyjdzie co do czego, to potrafi najwyżej opowiedzieć, kto z kim pożenił się, lub komu gęś ukradli. — A to bardzo niewiele. — Każda wieś, osiedle małe nawet, posiada swoją przeszłość, swoją historię. Warto ją poznać. — Zaraz ta wioska robi się jakaś bliższa sercu, droższa. I pamiątki stare się znajdą. Tu jakiś grobowiec, tam krzyż, ówdzie chata z podcieniem i wiele, wiele różnych pięknych rzeczy, tylko trzeba je odszukać, wypatrzeć.

Miłe są tego rodzaju wycieczki. Dają dużo wrażeń, przeżyć, pozostawiają bardzo miłe wspomnienia.

Niech się przodownicy długo nie namyślają, bo czas szybko mija, po pomysł do głowy, zabrać kolegów, koleżanki i marsz za wieś!

A może wozami pojedziemy? To by ładnie wyglądało! — A może tak wspólnie... łodzią, lub kilku łodziami...? Hej! przodowniku, prędzej ruszajcie, bo jeszcze ja z wami wybiorę się.

LUBICZ-MAJEWSKI TADEUSZ.

Kronika Organizacyjna

ZEBRANIE Z KURSU INFORMACYJNEGO P. W. KOBIET DO OBRONY KRAJU I ORGANIZACYJNE ZEBRANIE SEKCJI PRACY KOBIET KOŁA DYREKCYJNEGO RODZINY KOLEJOWEJ ŚLĄSK — BAŁTYK w BYDGOSZCZY

Dnia 26 czerwca 1939 r. w sali konferencyjnej Dyrekcji Kolei Herby Nowe — Gdynia Francusko-Polskiego Towarzystwa Kolejowego w Bydgoszczy, odbyło się uroczyste zakończenie 9-dniowego kursu informacyjnego P. W. Kobiet do obrony kraju, zorganizowanego z inicjatywy Przewodniczącej Sekcji Pracy Kobiet Okręgu R. K. p. E. Podworskiej, połączone z organizacyjnym zebraniem Sekcji Pracy Kobiet Koła Dyrekcyjnego.

Zagajenia dokonał prezes Okręgu, witając zebrane panie, życząc im pomyślnych obrad i dalszego rozwoju prac Sekcji. Po ukonstytuowaniu się Prezydium, w skład którego weszli prócz Przewodniczącej Sekcji Pracy Kobiet Okręgu, Prezes Okręgu inż. Podworski, panie: Sulecińska, Cholewińska, Felińska oraz Delegaci Okręgu i Koła p. p. Moskwa, Tomaszewski i Toczyłowski, został wygłoszony przez p. Przewodniczącą Podworską referat sprawozdawczy ze Zjazdu Sekcji Pań w Warszawie w dniu 3 czerwca rb. P. Przewodnicząca prócz tego poinformowała zebranych o dotychczasowym dorobku Pracy Kobiet w Rodzinie Kolejowej, omówiła całokształt zagadnień zorganizowanego kursu, stwierdzając jednocześnie konieczność powołania do życia Sekcji Pracy Kobiet przy Kole Dyrekcyjnym.

Zarząd Sekcji ukonstytuował się w składzie następującym: Przewodnicząca p. Sulecińska, w-przewodnicząca p. Bubleyowa, sekretarka p. Niemczewska, z-czyni sekretarki p. Żyndowa, oraz członkinie zarządu sekcji p. p. Jaklewiczowa, Poppe, Wierzchowska, Kleinowa, Zdebska, Stępieniowa i Maciaszkowa.

W dyskusji zabierały głos panie: Sulecińska dziękując za zaufanie i powołanie ją na tak zaszczytne stanowisko, p. Niemczewska, która w pięknych słowach podziękowała p. Podworskiej za zorganizowanie niezmiernie pożytecznego kursu.

Wspólna herbatka, fotografia, kilka utworów fortepianowych i chóralnych zakończyło tę miłą uroczystość Koła Dyrekcyjnego Rodziny Kolejowej.

WYCIECZKA KOLEJOWEGO KLUBU SPORTOWEGO W GDAŃSKU DO WYKOPALISK BISKUPIŃSKICH



Wycieczka Polonii gdańskiej przed pomnikiem Leszka Białego w Marcinkowie pod Gąsawą.

Dnia 24 czerwca br. o godz. 22 wyjechała specjalnym pociągiem, dostarczonym przez Ministerstwo Komunikacji, wycieczka Kolejowego Klubu Sportowego w Gdańsku do Biskupina, celem zwiedzania prastarej osady słowiańskiej, która pochodzi z czwartego wieku. Udział wzięło w wycieczce 380 osób i to członkowie K. K. S. wraz ze swoimi rodzinami. Żnin, w obrębie którego znajdują się wykopaliska biskupińskie na przyjęcie wycieczki zorganizował specjalny komitet, czegośmy zupełnie nie oczekiwali. Wycieczkę, przyjeżdżającą dnia 25 czerwca wczesnym rankiem do Żnina, oczekiwali na dworcu przedstawiciele K. P. W., Rodzi-

ny Kolejowej, przedstawiciele powiatu, miasta i społeczeństwa żnińskiego oraz liczne rzesze ludności miasta Żnina, zapowiadając oficjalną część przyjęcia na godzinę 13-tą. Przez ślicznie udekorowane miasto zielenią, bramami triumfalnymi, chorągwiami o barwach narodowych, wśród kwiatów rzucanych z wszystkich stron przez obywateli miasta Żnina, wycieczka wyruszyła z własną orkiestrą z dworca do lokalu „Wielkopolanki", gdzie było przygotowane śniadanie. O godz. 7-mej uczestnicy wycieczki wysłuchali mszy św. w kościele parafialnym, odprawionej przez ks. prefekta Guttmanna. Po nabożeństwie odśpiewano przy dźwiękach muzyki „Boże coś Polskę".

Do kościoła i na dworzec towarzyszyła kompania K. P. W. żnińsko-barcińska.

Następnie pociągiem żnińskiej kolejki powiatowej, przystrojonym również zielenią i flagami wycieczka udała się do Biskupina, gdzie nas oczekiwał kierownik wykopalisk dr Rajewski wraz z 6 przewodnikami. Zwiedzenie trwało przez blisko 2 godz., przy czym przewodnicy wyjaśniali obecnym sposób budowy osiedla pierwszych Słowian zamieszkujących nasze ziemie. Ponieważ wycieczka usłyszała równocześnie naświetlenie historyczne dokonanych odkopalisk, przeto zwiedzanie tego osiedla położonego wśród jezior miała bardzo doniosłe znaczenie pouczające i wywarło na uczestników wycieczki wielkie wrażenie.

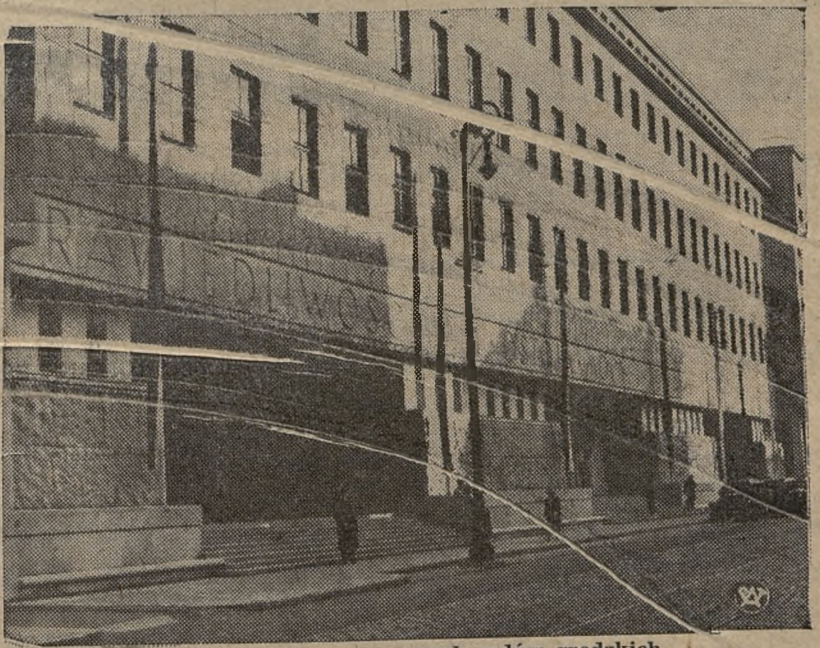
Następnie wycieczka pojechała do Gąsawy, skąd udała się do majątku p. Gozimierskiego w Marcinkowie Górnym, na którym w zdradziecki sposób został zamordowany Leszek Biały w roku 1227. Państwo Gozimierscy ufundowali olbrzymi pomnik, przedstawiający Księcia na koniu w chwili, gdy Książę został ugodzony strzałą w plecy. Widok tego historycznego wypadku bardzo podziałał na wycieczkowiczów tym więcej, że p. Gozimierski, naświetlając moment historyczny, wygłosił do nas przemówienia w bardzo ciepłych słowach. Zwiedziliśmy przy tej sposobności bardzo wzorowo urządzoną wieś polską.

Stąd wycieczka powróciła do Żnina. W Żninie przygotowało nam miasto owacyjne przyjęcie. Na dworcu małej kolejki oczekiwał nas cały komitet z p. Starostą na czele, przedstawiciele armii i poczty sztandarowe oraz bardzo licznie zebrana ludność. Po odbytych ceremoniach przywitalnych przy dźwiękach orkiestry strażackiej oraz własnej nastąpił wymarsz do miasta. Na rynku pod starą basztą, wygłosił kierownik szkoły p. Golec przemówienie powitalne, zakończone odśpiewaniem hymnu narodowego, po czym kierownik wycieczki p. mgr Wojtowicz podziękował za tak piękne słowa jak i za miłe przyjęcia i zaprosił do „Wielkopolanki" obecnych na małą pogawędkę. Przy wspólnym obiedzie w lokalu „Wielkopolanka" wzięli udział przedstawiciele powiatu, miasta i społeczeństwa, przy czym p. Starosta wygłosił serdeczne przemówienie, podnosząc piękno Gdańska. Po zakończonym obiedzie ludność żnińska z uczestnikami wycieczki bawiła się przy dźwiękach orkiestry tanecznej K. K. S. Gdańsk.

O godz. 17-tej nastąpił wymarsz na dworzec. Ludność żnińska towarzyszyła wycieczce aż do samego peronu, żegnając nas bardzo serdecznie. Wśród okrzyków na cześć polskiego Gdańska i miasta Żnina, pociąg ruszył o godz. 17,50. Również i po drodze leżące miasto Szubin wywołało u nas radość nieoczekiwaną. Podczas przejazdu przez Szubin, ludność ziemi Pałuckiej licznie zjawiła się na dworcu wraz z władzami, a miejscowy chór mieszany odśpiewał kilka piosenek. Te samorzutne i nieoczekiwane owacje ludności ziemi pałuckiej wywołały wysoki nastrój wśród Polaków z Gdańska. Gdańszczanie przekonali się, że za nimi stoi cała Polska, a takie wzajemne zbliżenie się i poznanie wyrabia hart ducha i podnosi uczucia własnej siły i konsolidacji.

Efekt z wycieczki przeszedł wszelkie oczekiwania i dlatego Zarząd Kolejowego Klubu Sportowego w Gdańsku dziękuje serdecznie w imieniu uczestników wycieczki wszystkim za zgotowane nam miłe przyjęcie i gorące słowa pociechy, które pozostaną nam zawsze miłą pamiątką.

Daj Bóg, byśmy Was, kochanych Rodaków, mogli niedługo przywitać w naszym polskim Gdańsku, boście takie wyrazili życzenie.



Rzut oka na nowy gmach sądów grodzkich w Warszawie.

HUMOR

W DACHAU

Jeden z więźniów osadzonych w Dachau zgłasza się do komendanta obozu:

— Chciałbym prosić o cygaro...

— Oszalał pan? — oburza się komendant. — W obozie koncentracyjnym zachciało się panu cygar?

— No tak, przecież kanclerz wyraźnie powiedział: „Chcesz zgubić swego wroga — daj mu mocne cygaro...”

SZCZYT MARZEŃ

Johann Müller, mając już dość rozkoszy życia w Trzeciej Rzeszy, postanowił wyemigrować za ocean.

— A nie zapomnij Hans — prosi go przyjaciel — gdy przyjedziesz do Ameryki, przysłać mi balonik...

— Balonik? Po co?

— Od dawna już marzę o tym, żeby odetchnąć wolnym powietrzem...

INTERPRETACJA

„Völkischer Beobachter” zapowiada rozpoczęcie budowy „trzeciej linii” Zygfryda, zapewniając, że tak wzmocnionych fortyfikacji zachodnich „żaden wróg nie przekroczy”.

A może przepłynie?...

WYŻSZA UŻYTECZNOŚĆ

— Podobno w Berlinie zabrakło benzyny!

— ???

— Goering oddał wszystkie swe mundury do oczyszczenia!

DOPÓKI ZAPAS STARCZY

Pewien adwokat praski został przed dwoma miesiącami osadzony w obozie koncentracyjnym.

Komendant obozu postanowił trzymać go tak długo, dopóki nie powtórzy wszystkich wyzwisk, jakie Czesi wypowiadają pod adresem Niemców.

Adwokat jeszcze siedzi...

LOGICZNY WNIOSEK

W Madrycie rozmawiają dwaj falangiści:

— Podobno mamy pojechać z rewizytą do Niemiec.

— Co ty mówisz? To tam już też wybuchła wojna domowa?

„ZAPASY”

Wysoki dygnitarz hitlerowski oprowadza amerykańskiego dziennikarza po olbrzymich składach, w których nagromadzono żywność na wypadek konfliktu.

— Szczególnie zboża mamy tyle — mówi, — że nie wiemy wprost co z nim robić...

— A może — wtrąca Jankes — spróbowalibyście robić z tego chleb!

CO MÓWIĄ W PRADZE?

Na ulicy w Pradze spotykają się dwaj Czesi.

— Co słychać u pana, panie Vykoukal?

— Dziękuję, doskonale mi się powodzi.

— A jak żona?

— Znakomicie. Jest oczarowana naszymi protektorami.

— A syn?

— Nie może nachwalić obecnych stosunków.

— Za pozwoleniem, panie Vykoukal, czy my rozmawiamy ze sobą, czy my też mówimy przez telefon.

POMYSŁOWY

Sułtan Soliman skazał jednego ze swych wodzów na śmierć.

— Błagam o litość! — zawołał skazany.

— Dobrze więc, zgadzam się, byś sam wybrał rodzaj śmierci.

— Jeśli tak, to pozwól o Panie, bym mógł umrzeć ze starości.

Sułtan roześmiał się i ułaskawił dowcipnego wodza.

ŚRODEK NASENNY

— Gdy piszę do późnej nocy — zwierza się literat swemu koledze po piórze — nie mogę potem zasnąć.

— Jest na to bardzo prosty środek...

— Jaki?

— Przeczytaj to, coś napisał!

W SZKOLE

— Pamiętajcie, dzieci: lepiej jest dawać, jak brać!

— Mój ojciec, panie psorze, też tak mówi!

— Czym jest twój ojciec?

— Bokserem.

Naczelny redaktor:
KAZIMIERZ KRUKOWSKI, kierownik O. P. Kurat. O. S. P.

Zast. nacz. redaktora dyr. **ZYGMUNT CHOJNICKI** Sekretarz redakcji: **ROMAN LEŚNY**

WARUNKI PRENUMERATY

rocznie	10 zł
półrocznie	6 zł
kwartalnie	3 zł
miesięcznie	1 zł
numer pojedynczy	50 gr
we Francji	3,80 Fr.
w Ameryce	0,10 $

Komitet redakcyjny:
Ks. prałat **Aleksander Ziemski**, naczelnik **Wiktor Grzanka**, płk. **Zgłobicki**, **Stanisław Potocki**, kpt. **Mieczysław Mieczysławski**, dyr. **Bohdan Pawłowicz**, kpt. **Jan Rusch**, inż. **Władysław Szopowski**, mgr **Marian Wojnowski**.
Redakcja i adm. TORUŃ, UL. MICKIEWICZA 2/4.
Telefon red. 10-67. (Dom Społeczny).
Nr P. K. O. 210.701. Opłata poczt. uiszczona ryczałtem.
Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza z odp. udz. w Toruniu.
Czcionkami Drukarni Spółdzielczej w Toruniu.